POLSKA WALCZĄCA

ŻOŁNIERZ POLSKI NA OBCZYŹNIE

FIGHTING POLAND — WEEKLY FOR THE POLISH FORCES — PRICE TWOPENCE

Wychodzi co tydzień | ***Dnia 12-go sierpnia 1944r.*** | **Rok VI. Nr. 32**

ZWYCIĘSKA BROŃ

Artykuł niniejszy — o propagandzie wojskowej — został napisany w Kraju i stamtąd przesłany dla "Polski Walczącej". Z prawdziwym wzruszeniem ogłaszamy go w piśmie, które zaczęło wychodzić na obcej ziemi w tej samej chwili, kiedy przez Polskę skrwawioną, powaloną na ziemię, ale niepobitą zaczął iść głos świadomy, kształtujący jednolitą opinię. Jeśli los sprawi, że ten numer "Polski Walczącej" dojdzie do rąk autora i jego towarzyszy, niech przyniesie zapewnienie o naszej głębokiej solidarności z ich trudem, ich wiarą, ich walką, niech przyniesie braterskie pozdrowienie, które posyłamy stąd w momencie tak ciężkim dla nich i dla nas wszystkich.

/Red./

Naród Polski prowadzi walkę nieprzerwanie od dnia 1 września 1939 r. Nie zdołały jeszcze zamilknąć ostatnie wystrzały bohaterskich walk pod Kockiem, gdy już w podziemiach konspiracji zaczęły działać nowe w swych formach ośrodki walki. Pierwsze jej przejawy musiały skupić się na froncie najważniejszym — na froncie kształtowania nastrojów społeczeństwa.

Na postawie duchowej społeczeństwa mocno zaciążyła gorycz klęski wrześniowej. Wykorzystała ten moment doskonale wyposażona technicznie propaganda niemiecka i niezwłocznie podjęła koncentryczny atak, którego celem był posiew defetyzmu, zwątpienia i załamanie duchowe Narodu. Każdy nowy sukces wojenny dawał propagandzie niemieckiej dodatkowe atuty w tej groźnej walce o postawę społeczeństwa.

Polska Podziemna walkę podjęła niezwłocznie. Przeciw rozporządzającej nieograniczonymi możliwościami technicznymi i organizacyjnymi, zasobnej w doświadczenie i wykwalifikowanych specjalistów propagandzie niemieckiej, wystąpiła do walki propaganda polska. Rodziła się ona drogą improwizacji, dobrej woli i energii. Nie mogła się oprzeć o liczne kadry fachowców, bo i przed wojną nie było ich w Polsce wielu, a sama propaganda była jedną z najmniej docenianych dziedzin życia publicznego. Nie posiadała najniezbędniejszych dla nowoczesnej propagandy warunków technicznych. Stworzona z niczego, w najtrudniejszych warunkach, najbardziej narażona na niebezpieczeństwo, propoganda polska musiała stanąć do walki z propagandą wroga. I dziś można stwierdzić z całą bezstronnością, że walkę tę wygrała. Nie tylko potrafiła odeprzeć wrogie ataki, lecz skutecznie podjęła ofensywę przeciw nieprzyjacielowi.

W wojnie polsko-niemieckiej propaganda polska udowodniła, że jest bronią. Bronią potężną i niezawodną. Zaczęła działać, gdy zamilkły ostatnie wystrzały oddziałów polskich i doprowadziła do tego, że na przełomie lat 1942/43 na ziemiach polskich zaczęły znów rozbrzmiewać strzały oddziałów partyzanckich. Zahartowała bowiem społeczeństwo w niezłomnej postawie oporu, utwierdziła w nim wolę walki i pewność zwycięstwa.

Propaganda podziemna torowała drogę wojskowej akcji organizacyjnej. Na gruncie przez nią przygotowanym powstawała sieć komórek wojskowych. Zrozumiałą jest rzeczą, że obok natężonej i duże zasługi w tej walce posiadającej propagandy, prowadzonej przez poszczególne organizacje niepodległościowe i ugrupowania polityczne, na czoło całej akcji wysunęła się propaganda wojskowa. Przez pierwsze lata okupacji była główną bronią zaczepną wojska, dopóki obok niej nie wystąpiła akcja dywersyjna i działalność oddziałów bojowych i partyzanckich.

Przyszły historyk propagandy wojskowej operować będzie bogatym materiałem dowodowym, przetkanym gęsto krwią i życiem żołnierzy propagandy. Ofiarność, odwaga i bohaterstwo — są ich chlebem codziennym, towarzysząc równie codziennemu niebezpieczeństwu. Najściślejsze rewizje w pociągach, największe nasilenie łapanek ulicznych, najgorsze zagęszczenie patroli niemieckich na ulicach, nie jest w stanie powstrzymać kolportażu. Jeśli kolporter ginie, natychmiast inny podejmuje jego służbę. Zrozumienie potrzeby ciągłości pracy i wysokie, pozbawione patosu, poczucie obowiązku cechuje żołnierzy propagandy.

Od pisanych na maszynie pierwszych komunikatów, poprzez odbijane na powielaczach pisemka, aż do nowoczesnych wojskowych zakładów drukarskich, bijących tygodniowo ponad 10.000 egzemplarzy rozmaitych druków — to odrębny i bogaty w treść rozdział w historii polskiej propagandy.

Propaganda wymaga umiejętności, sama dobra wola nie wystarczy do jej właściwego stosowania. Dlatego też propaganda wojskowa podjęła zadanie stałego szkolenia swych żołnierzy, w stopniu, na jaki warunki konspiracyjne pozwalają. Odbywają się stałe kursy dla propagandzistów z całej Polski, ukazało się drukiem kilka fachowych broszur, poświęconych zagadnieniom i technice propagandy. Szkolenie obliczone jest na potrzeby bieżące i na okres powstania, stawiającego przed propagandą wojskową rozległe i odpowiedzialne zadania.

Powstało ponad 50 nowych pieśni żołnierskich o dobrych tekstach i na wysokim poziomie muzycznym, które już dziś śpiewa żołnierz partyzancki, a niedługo śpiewać będzie żołnierz powstania. Piosenki te wyszły drukiem w dwóch tomikach i w specjalnych wydaniach nutowych. Żywić można nadzieję, że przyswoją się łatwo i w wojsku polskim zagranicą.

Zakonspirowany teatr żołnierski nie może czekać ze swym repertuarem na wybuch powstania, lecz już dziś wysyła swe zespoły do lasu, do oddziałów partyzanckich Armii Krajowej.

Polowi sprawozdawcy wojenni /PSW/ do początków ubiegłego roku utrwalają piórem i fotografią terror okupanta i akcje bojowe oddziałów polskich, legitymując się już dziś wielu dziesiątkami reportaży i setkami zdjęć, z których wiele powstało bezpośrednio w ogniu walki. Reportaże ukazują się w prasie podziemnej i wydawane są w oddzielnych broszurach, zdjęcia zamieszczane są w specjalnym periodyku wojskowym p.t. "Polska Ilustrowana". Fotografia to nie tylko doskonały środek propagandy, lecz i dokument; materiał cenny dla Kraju, zagranicy i dla przyszłości. Zdobyty w konspiracji posiada wartość życia ludzkiego. Za sfotografowanie sceny ulicznej, niemieckiego bunkru miejskiego czy miejsca publicznej egzekucji, grozi nie tylko konfiskata aparatu, lecz rozstrzelanie lub obóz koncentracyjny. Niektórych sprawozdawców już ten los spotkał.

Propaganda wojskowa pracuje również w polu. Przy większych oddziałach partyzanckich działają t.zw. "patrole propagandowe" o dwojakich zadaniach. Dostarczają one zdjęć i korespondencji dla użytku centralnego, a jednocześnie działają wychowawczo i propagandowo w samym oddziale. Prowadzą tam nasłuch radiowy, wydają komunikaty, przeprowadzają gawędy, organizują ogniska, wydają na powielaczach prasę polową /jedno z takich pism "Echa leśne" liczy sobie już drugi rok wydawnictwa/.

Żołnierze patrolu dzielą los wszystkich żołnierzy partyzantki i wspólnie z nimi biorą udział w walkach. Odznaczenia bojowe, awanse i pochwały stanowią dowód dzielnego zachowania się w walce żołnierzy propagandy.

Patrole propagandowe mają szerszy zakres obowiązków niż zwykli prasowi korespondenci wojenni, gdyż ważnym ich zadaniem jest oddziaływanie wychowawcze na oddział, do którego są przydzieleni. W ten sposób najłatwiej i najbezpośredniej propaganda dociera do każdego żołnierza.

Taki bliski dostęp jest tym potrzebniejszy, że żołnierz polski to żołnierz-obywatel, który musi mieć świadomość swych praw i obowiązków, który pragnie wiedzieć, jak ma wyglądać Polska, o którą dziś walczy. Kształtowanie nastrojów żołnierza i w tej dziedzinie jest również zadaniem propagandy wojskowej.

Co raz powszechniej ugruntowuje się zrozumienie faktu, że stanowi ona samodzielną i groźną, o szerokim zasięgu działania, broń wojenną. Tak jest już traktowana przez wszystkie walczące dziś państwa. Ale znaczenie jej, jako broni specjalnej, zostaje najwyraźniej uwypuklone w warunkach okupacyjnych. Znaczeniu swemu i wielkiej skuteczności propaganda Polski Podziemnej przypisywać musi tę niezwykłą zaciekłość prześladowań, przy pomocy których walczy z nią aparat policyjny i gestapowski okupanta.

Propaganda niemiecka bowiem walczyć z nią już nie potrafi. Pozbawiona przez polskie działanie inicjatywy, piętnowana na każdym kroku, została z pola walki zepchnięta i zmuszona do zajmowania stanowiska obronnego. Atakowana przez propagandę polską na własnym swym terenie /dziś jeszcze ujawniać tego nie można, nie potrafi zabezpieczyć nawet Niemców przed skutecznością polskiego natarcia. Represje policyjne — mimo, że ustawicznie powodują bolesne szczerby w szeregach żołnierzy propagandy — nie są w stanie stłumić i zgnieść propagandy polskiej. Wymierzone w nią najostrzejsze ciosy, największa zajadłość prześladowców — nie osiągają zamierzonego celu.

W pięcioletniej, o nierównych szansach, walce z propagandą i policją niemiecką, propaganda polska wykazała swą siłę i rozmach i udowodniła, że z walki tej wychodzi jako broń hartowna i zwycięska.

Warszawa, lipiec 1944 r.

WŁADYSŁAW NAŁĘCZ

POLITYKA I KREW

Autorem tego artykułu jest oficer Komendy Głównej Sił Zbrojnych w Kraju, który przybył z zadaniem specjalnym do Londynu pod koniec kwietnia b.r. Ma on wyjątkowe prawo do pisania o walczącej Warszawie i jego głos ma wyjątkowy ciężar gatunkowy.

/Red./

Nad Warszawą goreje łuna. W Warszawie huczą strzały, które rozległym echem pójdą po całej naszej historii. W oczach naszych legenda staje się rzeczywistością: przyszłym pokoleniom służyć ona będzie jako wspaniały przykład bezgranicznej ofiarności najszerszych mas naszego społeczeństwa dla sprawy niepodległości. Naród, który po pięciu latach najkrwawszej w dziejach okupacji, dorzucić potrafi do bohaterskiego września warszawskiego z roku 1939 nową epopeę warszawskiego sierpnia 1944 roku, nie zostanie nigdy przez nikogo ujarzmiony. Można przemilczać naszą walkę, można przeinaczać fakty, zmieniać ich sens, pomniejszać ich znaczenie. Najbrutalniejszy jednak nawet cynik polityczny, jeśli ma choć trochę poczucia rzeczywistości, musi się liczyć z faktem, że sprawy Polskiej nie załatwi się w sposób trwały siłą. Wola walki o niepodległość, którą przeniknięte są wszystkie bez wyjątku warstwy naszego społeczeństwa sprawia, że hasło "bez wolnej Polski nie ma pokoju w Europie" należy do konkretnych realiów polityki.

Walka w Warszawie jeszcze trwa, nie czas przeto jeszcze na podsumowanie jej przebiegu, ani na wyjaśnianie jej punktu wyjścia. Trzeba się wstrzymać ze zbyt pohopnym sądem takim, czy innym, tym bardziej, że nie wszystkie materiały są dostępne, a z posiadanych — nie wszystkie mogą być ujawnione. To co mamy pozwala na razie na skreślenie dość ogólnikowego obrazu.

Decyzję powstania w Warszawie powziął Delegat Rządu R.P. — urzędujący w Kraju Wicepremier w porozumieniu z Przewodniczącym Rady Jedności Narodowej i Dowódcą Armii Krajowej. Uderzenie nastąpiło w dniu 1 sierpnia 1944 roku o godz. 17-tej. Po wywalczeniu inicjatywy — oddziały Armii Krajowej w krwawych bojach zdołały zdobyć i utrzymać Stare Miasto, znaczną część śródmieścia, zachodnią część miasta i środek Mokotowa. Z liczby bardziej znanych miejsc i gmachów, które są już w naszym ręku — wymienić należy Plac Napoleona, Teatralny i Bankowy, zabudowania Poczty Głównej, Prudentialu, Politechniki, Elektrowni, Gazowni i Filtrów, oraz na Pradze — dworce: wschodni i wileński. Dworzec Główny oraz mosty na Wiśle przechodzą z rąk do rąk. Obie strony poniosły ciężkie straty. Szczególnie dla nas dotkliwe są ofiary spośród mordowanej przez Niemców ludności cywilnej. Zdarzają się wypadki niesłychanego barbarzyństwa, jak n.p. przywiązywania mężczyzn do czołgów lub pędzenia kobiet i dzieci przed czołgami nacierającymi na nasze stanowiska.

Postawa ludności Warszawy — imponująco patriotyczna, godna, karna i jednolita. Ucichły wszelkie różnice, wszyscy skupili się dokoła walczącej armii. Wyrazem zespolenia wszystkich trzech czynników polskich w Kraju: rządowego, społeczno-politycznego i wojskowego, stało się wejście Delegata Rządu i Przewodniczącego Rady Jedności Narodowej w skład Sztabu Dowódcy Armii Krajowej.

Niemcy z wielkim wysiłkiem usiłują utrzymać zasadnicze arterie przelotowe. Pożarami całych dzielnic tworzą zapory, trudne do przebrnięcia. Do walki wprowadzają ciężkie czołgi, artylerię, lotnictwo bombowe i myśliwskie oraz miotacze ognia. Mimo tej przewagi technicznej wroga — Armia Krajowa nie pozwala sobie wyrwać inicjatywy. Z poza licznych barykad, którymi pokryło się całe miasto, oddziały nasze przeprowadzają nadal skuteczne wypady. I tak n.p. dnia 5 sierpnia zdobyliśmy baraki SS w ruinach ghetta, a w dniu 6 sierpnia zdołaliśmy odbić część Żoliborza dokoła Placu Wilsona.

W Warszawie płynie krew, krew naszych braci, sióstr, matek, żon i dzieci. Krew ta każe przerwać niedomówienia, które w ostatnich czasach nagromadziły się dość licznie wokół pewnych drażliwych spraw.

Stwierdźmy pewne proste, zasadnicze fakty:

Polska jest pierwszym kombatantem tej wojny przeciwko Niemcom i zarazem sprzymierzeńcem Wielkiej Brytanii, która zobowiązała się przyjść nam z pomocą wszystkimi rozporządzalnymi siłami.

Polska jest sprzymierzeńcem o nieposzlakowanej lojalności: oddawaliśmy i oddajemy usługi nie tylko Wielkiej Brytanii, ale w imię jedności Sprzymierzonych oddajemy je Armii Czerwonej, mimo wielu faktów — starszych, świeższych i całkiem świeżych, uzasadniających jak najpoważniejsze obawy o przyszłość Polski.

Rosja w propagandzie swej wzywała i wzywa Naród Polski do powstania.

Warszawa powstała przeciwko Niemcom. Fakt ten stanowi casus foederis *t.zn. wypadek, który uruchamia nasz traktat z tym krajem, w stosunku do Wielkiej Brytanii. Fakt ten, choć wywołany innymi pobudkami, odpowiada życzeniom rosyjskim.*

Mimo to Warszawa od tygodnia walczy przeciwko Niemcom sama, sama bez niczyjej pomocy. Działania na przedmieściu Warszawy na froncie rosyjsko-niemieckim ustały. Skądinąd brak dotąd wysiłków, by przyjść z pomocą.

Nie są to bynajmniej tylko nasze uroszczenia. Tak myśli cały Kraj. Oddajemy tu głos Dowódcy Armii Krajowej, który w depeszy z dnia 6 sierpnia m.in. pisze:

"Stwierdzam, że Warszawa w swej walce obecnej nie dostaje pomocy od Sprzymierzonych".

Twarde to są słowa i powtarzamy je nie bez przykrości. Zatajać ich jednak nie mamy prawa.

W chwili obecnej, mimo gorzkich doświadczeń musimy dorównać w opanowaniu nerwów walczącej Warszawie. Nie możemy jednak śledzić obojętnie dramatycznej walki Warszawy na śmierć i życie: obowiązuje nas lojalność względem naszych Sprzymierzeńców; mamy jednak prawo żądać od nich w tej groźnej chwili takiejże samej wierności braterstwu broni.

ANDRZEJ POMIAN

Przegląd tygodniowy

BITWA O OSWOBODZENIE WARSZAWY

Na czoło wydarzeń tygodnia wysuwa się dla nas, podjęta 1-go sierpnia o godzinie 5-ej popołudniu, bohaterska walka Armii Krajowej o wyzwolenie stolicy. Fakt opanowania w zwycięskich bojach przeważającej części miasta przez nasze oddziały i wytrzymania przez szereg dni, bez pomocy z zewnątrz, potężnej kontrakcji pancernych odwodów niemieckich, z użyciem przez wroga ciężkich czołgów i lotnictwa bombowego — wysunął Armię Krajową na czoło naszych Sił Zbrojnych. Echo w opinii świata jest potężne. Ukazała się mu — zmartwychwstająca w krwi i chwale — Rzeczpospolita Polska.

Decyzję wystąpienia powziął gen. Bór w ramach przed kilku tygodniami zarządzonej przez Wodza Naczelnego "Burzy", to jest systemu operacyj zaczepnych na tyły wroga, przeprowadzanych kolejno w różnych częściach kraju. Nie znamy jeszcze elementów tej decyzji. Wiemy, że akcią swą Armia Krajowa zagroziła liniom komunikacji i odwrotu znacznych sił niemieckich, walczących jeszcze na wschód i północny wschód od Warszawy, że mosty i dworce znalazły się w rękach naszych wojsk lub były przechodzącym z rąk do rąk przedmiotem walki, że ściągnięte przez Niemców odwody pancerne walczą głównie o otwarcie z powrotem przeciętych arteryj komunikacyjnych przez miasto.

Walka jest bardzo ciężka, dotąd — w siódmym jej dniu — nierozstrzygnięta i nie ma dotąd odsieczy.

Nad bitwą warszawską zaciążyła całym brzemieniem sprawa stosunków polsko-sowieckich. Brak porozumienia politycznego i wojskowego, o które Rząd nasz nalegał od dawna, pociągnął za sobą brak uzgodnienia w operacjach. Właśnie, gdy Polacy podejmowali bój, ofensywa sowiecka zatrzymała się na przedpolu Warszawy, a główny wysiłek zwrócił się w inną stronę. Warszawa walczy bez pomocy lotnictwa, które gdzieindziej wspiera tak skutecznie siły powstańcze, nie otrzymując też pomocy zrzutami z powietrza.

Jest to wyłącznie polska bitwa. Nam, żołnierzom polskim, niewypowiedzianie ciężko jest pomyśleć, że nie możemy dotrzeć z pomocą. Ze ściśniętym sercem powtarzamy słowa Łukasińskiego z "Nocy Listopadowej": "By tylko tym braciom, co walczą w Warszawie, zwycięstwo się w walce zostało . . ."

OFENSYWA SOWIECKA

Ofensywa sowiecka zatrzymała się w centrum, nad średnią Wisłą. Wielkie postępy poczyniła na skrzydłach. Na Łotwie, po wzięciu Mitawy, osiągnęła Zatokę Ryską, przez co odcięła ostatecznie odwrót armiom niemieckim w krajach bałtyckich. Upieranie się Hitlera przy utrzymaniu tam swych armij było pono ostatnim bodźcem do groźnego buntu generałów. Dziś Berlin oficjalnie głosi, że dowódca ich, gen. Lindmann, uciekł do nieprzyjaciela. Jeśli w decyzji Hitlera była jakaś myśl przewodnia, idea manewru stamtąd na tyły przeciwnika, to dzisiaj trudno pomyśleć, by te 25 dywizji, tam unieruchomione, były zdolne moralnie i fizycznie do czego innego, jak biernej obrony, która zakończy się ich zdławieniem.

Od średniego Niemna, przez Suwalszczyznę, armie sowieckie wdarły się już w granice Prus Wschodnich. Te z kolei są jakby wysuniętym bastionem, wiszącym na flance ofensywy sowieckiej. Do tej naturalnej i potężnie umocnionej fortecy ściąga teraz Hitler swe dywizje zbyt długo trzymane w Finlandii, gdzie marszałek Mannerheim objął prezydenturę celem ratowania państwa przez pokój z Rosją. Czy jednak powiedzie się Niemcom skupić w Prusach Wschodnich jakąś masę manewrową, zdolną do zwrotu zaczepnego — rzecz co najmniej wątpliwa.

Mówił kiedyś Hitler, że brytyjska strategia mieści w sobie znamiona niespodzianki, bo nigdy nie wiadomo, co ci "idioci" wymyślą. Dzisiaj Churchill stwierdził, że brytyjscy strategiczni "idioci" nie są w stanie rozeznać się w strategii niemieckiego Führera. Dodamy, że nie pojęli jej właśni jego generałowie, wyrzynani dziś przez SS-ów, co ma znakomicie podnieść ducha bojowego wojsk niemieckich.

Na lewym skrzydle armie sowieckie przekroczyły San i sforsowały Wisłę na szerokim froncie pod Sandomierzem, posuwając się po obu brzegach rzeki na Kraków. Świeżo zaznaczyło się wykorzystanie dokonanego wyłomu ku północnemu zachodowi, z zamiarem wyjścia na tyły niemieckiej armii warszawskiej.

Ofensywa sowiecka na Kraków może mieć, jako dalekie cele, Śląsk i Berlin lub Bramę Morawską i Wiedeń. Geograficznie zagraża jej flance olbrzymi bastion karpacki /Węgry, Ruś Zakarpacka, Słowaczyzna/. Został on jakby zlekceważony, zbyty zaczepną osłoną od przełęczy karpackich. Sowiety nie liczą na wyjście stąd przeciwuderzenia w większym stylu; warunki terenowe i komunikacyjne ograniczają z góry jego aktualne rozmiary i zasięg.

TAJEMNICA FRONTU WSCHODNIEGO

Spotykamy się jeszcze z traktowaniem przebiegu wojny na wschodzie jako zagadki. Nie było tu nic zagadkowego dla tych, co przemyśleli zagadnienia wojny ruchowej na szerokim froncie. Od rozpoczęcia zeszłorocznej ofensywy letniej strona sowiecka rozporządzała przecież więcej, niż dwukrotną przewagą ludzi i sprzętu. Górowała też ruchliwością, ilością środków transportowych i bogactwem materiałów pędnych. Wreszcie po jej stronie była inicjatywa.

Nie mogli Niemcy myśleć o obronie stałej na całym froncie. Wymaga ona nasycenia przestrzeni betonem, ludźmi i sprzętem, głębokich systemów ognia, ugrupowanych w głąb odwodów. Trzeba by na to trzy razy tyle sił, ile ich mieli. Stosowali obronę stałą pewnych węzłów ufortyfikowanych, broniąc reszty przestrzeni manewrem. Jest to sposób wojowania trudny, niezmiernie zużywający siły obrońcy. Przy dużej przewadze liczebnej, nacierający może zawsze skupić na wybranym kierunku przemoc druzgocącą, wedrzeć się głęboko na tyły, a po złamaniu przeciwnatarć wygnieść broniące się "jeże" wraz z obrońcami. Dziś "elastyczna obrona" nie jest dość elastyczną, jeśli przeciwnik ma liczne wojska szybkie i przewagę w powietrzu. Każdy odskok jest wtedy śmiertelnym ryzykiem. Dlatego Niemcy nieraz woleli kazać swym armiom bronić się na miejscu, czekać na odsiecz, która w wielu wypadkach zawiodła. W ruchomej wojnie obrońca, zmuszony do odwrotu pod naporem, nieraz ponosi straty większe, aniżeli napastnik. Dzieje się to zwłaszcza, gdy nacierający szybkimi wojskami wyprzedza cofające się kolumny i odcina je. Wtedy — w miarę rozwoju ofensywy—stosunek sił przesuwa się stale na jego korzyść. Tak było z Niemcami, w latach: 1939, 1940, 1941. Tak jest z kolei z Rosjanami w kampaniach obu lat ostatnich.

FRONTY FRANCUSKI I WŁOSKI

Zamilkły już dziś zapytania: czemu armie sowieckie tak błyskawicznie idą naprzód, gdy we Włoszech znowu toczą się bitwy na froncie mniej lub więcej stałym, a w Normandii ciągnie się tygodniami wielka pozycyjna bitwa w stylu wojny poprzedniej na Zachodzie? Pytający nie zawsze brali pod uwagę dwa czynniki: stosunek sił obu przeciwników i stosunek ich sił do przestrzeni.

We Włoszech warunki geograficzne, wąskość i zwężenia półwyspu, oraz topograficzne, sprzyjały obronie stałej na przygotowanych kolejnych liniach. Przestrzeń do manewru trzeba wywalczać przez przełamywanie frontów obronnych. O ile zaś w powietrzu i sprzęcie artyleryjskim była duża przewaga Sprzymierzonych, to co do liczby dywizyj stosunek był bliski równowagi. Tym wyżej należy oceniać świetne operacje generała Alexandra, zwłaszcza zaś mistrzowską operację majową. Rozszerzenie frontu, który Niemcy niebardzo już mają czym "umeblować", nadało wojnie charakter bardziej ruchowy, sprzyjając manewrowi operacyjnemu lub taktycznemu, jakiego piękny przykład dał gen. Anders pod Ankoną. Świeże zdobycie Florencji wieńczy nową fazę zwycięskiej ofensywy. Następna wyprowadzić winna armie gen. Alexandra na rozległe niziny dorzecza Padu.

Na froncie w Normandi przewaga liczebna i sprzętowa armij gen. Eisenhowera mogła dochodzić do głosu tylko stopniowo, w miarę zdobywania przestrzeni potrzebnej do jej rozwinięcia, oraz w miarę możności wyładowywania wojsk i sprzętu, raz po razu przekreślonej przez burze. Burze te nie przeszkadzały Niemcom w ich koncentracji; przeciwnie—chroniły ją od działania potężnego lotnictwa Sprzymierzonych. Stąd też operacja przechodziła, jak sądzimy, fazy krytyczne, zanim zdołano pod osłoną sił brytyjskich, walczących zacięcie pod Caen, wywalczyć sobie siłami amerykańskimi wyjście na tyły półwyspu Cherbourg'a /Cotentin/.

Jednakże i po jego owładnięciu front u jego nasady był wąski, umożliwiał Niemcom potężną obronę stałą z silnymi zwrotami zaczepnymi. Manewr gen. Montgomery polegał na związaniu gros sił niemieckich i zużyciu odwodów uderzeniami czołowymi pod Caen, po czym nastąpiło zaskoczenie uderzeniem amerykańskim na prawym, zachodnim skrzydle i po ciężkich walkach rozbicia lewego skrzydła niemieckiego.

Teraz armie amerykańskie poszły w przestrzeń z szybkością przewyższającą o wiele niemiecki "*Blitz*" w pierwszych trzech latach wojny. Wyszły na tyły półwyspu Bretanii, zalewając go od strony niebronionej, pożerając przestrzeń i garnizony. Rzuciły się ku południowi — ku Loarze i ku wschodowi na drogi do Paryża. A półwysep normandzki, jak koń trojański, wyrzuca z siebie coraz nowe siły, gdy tymczasem wszystko, co Niemcy ściągnąć mogli do bitwy, ugina się pod uderzeniami Brytyjczyków. Gdy to runie— popłyną znowu korpusy brytyjskie ku dolnej Sekwanie i w górę rzeki na Paryż.

PRAWO PRZYŚPIESZENIA

Było widoczne od czasu Stalingradu, że Niemcy są na równi pochyłej. Obowiązuje na niej prawo przyśpieszenia. Zsuwanie się, zrazu powolne, przybrać może w końcu zawrotną szybkość.

Niemcy byli olbrzymią potęgą militarną, więc i równia pochyła była długa. Ale przyśpieszenie ruchu jest już oczywiste dla największych sceptyków. Premier Churchill mógł przeto śmiało zaryzykować w Izbie wyznanie, że liczy się z możliwością prędkiego zakończenia wojny z Niemcami.

Mówi się czasem o nowym 11 listopada 1918 r. Pod względem wojskowym Niemcy byli jednak w takiej sytuacji, jak wtedy — co najmniej rok temu. Nie kapitulowali, jak wtedy, bo nie pozwoliła partia; nie zawalili się jak wtedy od wewnątrz, bo nie pozwoliło Gestapo. Zamach generalski, zmierzający do "dyktatury kapitulacji" — zawiódł. Za to jednak ich armie, które w r. 1918 doznawały porażek, ale nie pogromów, teraz kruszą się, rozpadają na kawały. Przykładem sto dwadzieścia tysięcy jeńców we Francji.

Koniec wojny zarysowuje się bliski. Nie dziw, że wszystkim nasuwa się pytanie: co przyniesie pokój narodom świata? — i rośnie lęk przed przegraniem pokoju.

PODRÓŻ PREMIERA

Premier Mikołajczyk jest w Moskwie. Prasa światowa przynosi, w związku z jego wyjazdem na rozmowy z marsz. Stalinem — wiele wersji, przeważnie opartych na domysłach. Nam wystarczy wiedzieć, że wyjechał jako Szef Rządu Suwerennej Rzeczypospolitej Polskiej, by podjąć, zanim by się stały rzeczy nieodwracalne, próbę porozumienia między obu państwami i narodami, porozumienia trwałego, na pokolenia. Wierzymy, że takie porozumienie jest w najżywotniejszym interesie obopólnym. Jakikolwiek będzie wynik, w sprawach wielkich i to jest dobre, gdy się ich chciało dokonać.

Bohaterska walka Warszawy dobitnie stwierdziła, w czyim imieniu występuje polski premier, jakie reprezentuje siły — i jakiego narodu.

O tygodniu minionym można powiedzieć, że teraźniejszość była brzemienna przyszłością.

TRIARIUS

Z tygodnia na tydzień

30 lipca: 6 pilotów polskich zaatakowało koło wybrzeży Norwegii 15 samolotów niemieckich, z których 7 zostało zestrzelonych.

31 lipca: Wojska amerykańskie dotarły do Avranches i Granville.

—Wojska sowieckie zajęły Siedlce, Mińsk Mazowiecki i Mariampol.

1 sierpnia: O godz. 17-tej oddziały Armii Krajowej wystąpiły otwarcie do walki o opanowanie stolicy.

—Wojska sowieckie zajęły Kowno. Walki toczą się na Pradze.

—Wojska amerykańskie przekroczyły rz. Selune i wkroczyły do Bretanii.

—Do Londynu przybyła delegacja z Kraju.

—Gen. Anders udekorowany został przez generała amerykańskiego J. Deversa, na Placu Weneckim w Rzymie, orderem "U.S. Legion of Merit".

—Prezydent Finlandii Ryti zrezygnował z urzędu. Następcą jego został marsz. Mannerheim.

2 sierpnia: Wojska sowieckie zajęły Rzeszów.

—Turcja zerwała stosunki dyplomatyczne i gospodarcze z Niemcami.

—Naczelny Wódz dekorował w Ankonie żołnierzy 2. Korpusu odznaczeniami bojowymi. Gen. Anders odznaczony został "Virtuti Militari" III klasy.

—W Kairze /w pierwszej stolicy/ zniesiono zaciemnianie świateł.

3 sierpnia: Wojska sowieckie zajęły Sandomierz i Sanok.

—Amerykanie dotarli do Dinan i Rennes. Brytyjczycy otoczyli Vire.

—Prezes Rady Ministrów St. Mikołajczyk odbył rozmowę z marsz. J. Stalinem na Kremlu.

4 sierpnia: Walki Armii Krajowej o Warszawę. Ogłoszono, że flaga polska powiewa na poczcie głównej, niebotyku "Prudential", elektrowni, i gazowni. Stare Miasto jest w rękach Armii Krajowej.

—Ósma Armia dotarła do Florencji.

—Wojska amerykańskie dotarły do Chateaubriant, Pontivy i Fougeres.

5 sierpnia: Oddziały Armii Krajowej zajęły w Warszawie dworzec wschodni i wileński.

—Wojska sowieckie zajęły Stryj.

—Amerykanie dotarli do Brest, Loire'y i Vitre.

Nowości lotnicze

Żołnierze niemieccy pytają się często swych dowódców: co stało się właściwie z naszą sławną *Luftwaffe*? Dlaczego wydani są na łup nieprzyjacielskiego lotnictwa, które lata gdzie chce, bombarduje gdzie chce i przepędza jak chce małe zespoły myśliwców niemieckich, które tylko od czasu do czasu pojawiają się nad liniami? W pismach niemieckich pojawiły się artykuły, które mają tłumaczyć szerokim masom, a przede wszystkim żołnierzom, że nie należy się niepokoić, bowiem *Luftwaffe* w pewnym momencie pojawi się, zwycięska jak zwykle. Tłumaczenie to nie trafia jednak nikomu do przekonania.

Marszałek Harris powiedział przed niedawnym czasem, że Niemcy posiadają jeszcze odwody lotnicze. Mówiac tak, miał na pewno w ręku realne dowody. Nie wytłumaczył jednak dlaczego owe odwody nie weszły do akcji w walkach w Normandii, mimo sytuacji tak dla Niemców groźnej.

Jak nieraz już informowaliśmy naszych czytelników, Niemcy posiadali i posiadają jeszcze w chwili obecnej zapas samolotów pierwszej linii, wahający się stale od 1941 roku koło cyfry 5000 samolotów bojowych. Cyfrowo zapas ten nie zmieniał się prawie zupełnie, jakościowo natomiast — bardzo zasadniczo. W tej chwili tylko drobny procent całości obejmuje jednostki bombowe, gdy większość to myśliwce rozmaitego rodzaju i gatunku. Przedtem było odwrotnie. Można przyjąć, że obecnie, dzięki wzmożonej produkcji Niemcy przesunęli ostateczną cyfrę pierwszej linii w górę powyżej 5000, podczas gdy w 1943 byli poniżej tej cyfry, Z tej sumy więcej nieco niż 1/3 znajduje się na froncie wschodnim, wsparta kilkuset samolotami państw współpracujących z Niemcami. Coś niecoś /300-350/ znajduje się u Kesselringa, coś niecoś na Bałkanach. Około 1/3 walczy na froncie zachodnim. Wreszcie duże zgrupowanie znajduje się w środkowych Niemczech, tworząc *Luftflotte Deutsches Reich*, którą miał dowodzić zabity podczas zamachu na Hitlera gen. *Luftwaffe* — Korten.

Marszałek Harris, mówiąc o odwodach na terenie Niemiec, miał więc prawdopodobnie na myśli: albo ową *Luftflotte Deutsches Reich*, albo też jeszcze inne jednostki, które mogłyby się znajdować na terenie Niemiec. Rzeczywiście, gdy obliczamy sobie rozrost produkcji niemieckiej w roku 1942, możemy dojść do wniosku, że przecież z tej produkcji dowództwo *Luftwaffe* mogło by oszczędzić na czarną godzinę około 2500 maszyn myśliwskich, z których można by utworzyć nowe jednostki, ze skromnymi rezerwami nie przenoszącymi n.p. jakichś 50%, dla uzupełnień. Jak się jednak zdaje, uruchomieniu tych odwodów staje na przeszkodzie ogromny brak załóg, jaki Niemcy bardzo odczuwają. Istnieje cały szereg objawów, które wskazują, że ów brak przybiera charakter krytyczny.

Chociaż Niemcy wbrew zasadzie, która nie pozwoliła im dotychczas wcielać kobiet do służby wojskowej, zdołali już wcielić wcale pokaźną ich liczbę do jednostek lotniczych, zwalniając w ten sposób mężczyzn, to jednak zapasu pilotów *Luftwaffe* nie ma. Nie ma nawet na potrzeby frontu. Mści się teraz na Niemcach owe zbyt hojne szafowanie materiałem ludzkim, tak charakterystyczne dla pierwszych dwóch lat wojny, które wykruszyło stany do tego stopnia, że dziś już nie mogą być uzupełniane w normalnej drodze.

Tutaj właśnie, zdaje się, należy szukać przyczyny, że *Luftwaffe* nie przejawia takiej czynności, na jaką ją stać powinno było, szczególnie na froncie zachodnim.

Poza tym Niemcy rzeczywiście przywiązują dużą nadzieję do wynalazków nowych broni. Przypuszczają, że brak aktywności *Luftwaffe* będą mogli zastąpić inną drogą, wobec tego dają do zrozumienia, iż o nią dbać nie potrzebują. Można też przytoczyć inne słowa marszałka Harrisa, który stwierdził, że lotnictwo, szczególnie bombowe, po tej wojnie przejdzie tak radykalne zmiany, że w obecnej formie przestanie istnieć.

Przypuszczamy jednak, że jeszcze za wcześnie byłoby odkładać *Luftwaffe* do szafki muzealnej jako przeżytek. Rozwój nowych broni technicznych może wprowadzić rewolucyjne zmiany, lecz już po tej wojnie, nie w czasie jej trwania. Stańmy raczej na stanowisku, które dyktują nam fakty: Niemcy teraz właśnie, w chwilach decydujących o zwycięstwie, pozbawione są nieodzownej do walki broni lotniczej.

Wielkie postępy Amerykanów i Brytyjczyków na froncie normandzkim przypisać należy działaniom lotniczym i zastosowaniu właśnie tego, co po pierwszej a nieudałej ofensywie na Cassino, wydawało się nieskuteczne: mianowicie bombardowania pola bitwy przy pomocy wielkich zgrupowań ciężkich bombowców. Specjalne warunki terenowe we Włoszech nie zapewniły tej nowej taktyce ostatecznego sukcesu. Natomiast w korzystniejszych warunkach w Normandii, wymiatanie bombami całych mil kwadratowych dało znakomite wyniki. Stosowane raz po raz na kilku odcinkach, umożliwiło nie tylko zupełne przełamanie oporu nieprzyjacielskiego, lecz osłabiło ducha żołnierza niemieckiego do tego stopnia, iż zaczął się masowo poddawać. Niewątpliwie walki inwazyjne, w Normandii — to nowy tryumf lotnictwa.

Dzięki wielu staraniom, a przede wszystkim dzięki doskonałemu wyszkoleniu załóg, udało się bardzo poważnie zmniejszyć szerokość pasa bezpieczeństwa między własnymi liniami, a t.zw. linią bombardowania. W ten sposób piechota i czołgi mogą w krótszym czasie wykorzystać przygniecenie nieprzyjaciela do ziemi i zaskoczyć go, nim jeszcze zdoła zreorganizować swój opór. Pod Cassino było inaczej: pas bezpieczeństwa był bardzo szeroki, teren kamienisty, schrony nieprzyjacielskie nie do ugryzienia bombami. W najlepszym razie dopiero w pół godziny po ukończeniu bombardowania, własne oddziały atakowały pozycje nieprzyjaciela. Nieprzyjaciel miał czas na organizację oporu, zresztą nie był doszczętnie zniszczony.

Zapytywano nas czy braki, jakie ponoć powstały w zoapatrywaniu niemieckich jednostek lotniczych czy pancernych na froncie w paliwo i smary, są rzeczywiście tak dotkliwe? Nie potrafimy odpowiedzieć na pewno. W każdym razie, z szeregu wypowiedzi jeńców niemieckich wynika, że n.p. jednostki pancerne pobierały w krytycznych chwilach benzynę od jednostek lotniczych. Co więcej — jak twierdzą niektórzy — takie pobieranie nie odbywało się w zwykłej drodze, gdyż podobne było raczej do zajazdu połączonego z walka, niż do współpracy różnych rodzajów sił zbrojnych Führera.

Bardzo intensywna działalność alianckiego lotnictwa strategicznego skierowana przeciw ośrodkom produkcji i magazynom paliwa na terenie Francji i Niemiec — w dużej mierze przyczyniła się do kryzysu paliwowego w Niemczech, którego początek zauważyć można było już dwa lata temu. Niewątpliwie zniszczenia dokonane w ośrodkach produkcji paliwa osiągnęły bardzo wielką skalę. Wystarczy spojrzeć na fotografie, opublikowane ostatnio przez prasę brytyjską.

Niemcy w zakresie benzyny muszą stać w obliczu katastrofy. Główne źródło benzyny naturalnej w postaci zagłębia naftowego rumuńskiego — tak jakby już odpadło. Pracuje tam tylko niewiele szybów. Wszystkie większe rafinerie zostały zniszczone, gdziekolwiek się znajdowały: we Francji, w Niemczech, na Węgrzech, czy na Bałkanach. A więc i przetwarzanie ropy jest utrudnione. Ośrodki produkcji benzyny syntetycznej są także, jak przypuszczać należy, uszkodzone w większym lub mniejszym stopniu, gdy tymczasem zużycie i zapotrzebowanie, zamiast zmniejszyć się — wzrasta.

Niemcy liczyli, że cały zapas paliwa, odstępowany dotychczas Włochom, po ich upadku zostanie skierowany na własny użytek, i że w ten sposób uda się załatać najgorsze dziury. Lecz ofensywa lotnicza przeciw komunikacjom lądowym i morskim, zmusiła Niemcy do uruchomienia transportu kołowego, rzecz jasna mechanicznego — i to w takich ilościach, że ów możliwy zapas został całkowicie zużyty. Dziury w zaopatrzeniu pozostały, co gorsza dziury te powstają już i na froncie.

Obliczenia niemieckie przyjmowały pewien standard zużycia na frontach, licząc się z pewnymi przerwami w działaniach nieprzyjaciela. Tymczasem tych przerw nie ma. Nawet zima nie przyniosła ulgi, przeciwnie — podniesienie się zużycia i olbrzymie straty w nagromadzonych zapasach.

Coprawda nie należy osądzać spraw zbyt różowo, jednak wydaje się /cyfry mają swą wymowę/, że możliwości niemieckie są w tej chwili więcej niż ograniczone. Trudno przypuszczać, by Niemcy byli w stanie pokrywać swe zapotrzebowania frontowe dłużej jak przez 6 miesięcy. To o benzynie, ze smarami jest jeszcze gorzej!

A bez benzyny i smarów wojny prowadzić nie można.

M. J. GORDON

Z gen. Andersem u Ojca Świętego

Rzym, w czerwcu

Miłującymi ramionami swej wspaniałej kolumnady obejmuje bazylika św. Piotra rozległy, położony przed kościołem plac. Z dwóch stron tego placu szemrzą fontanny, jedne z owych niezliczonych fontann Rzymu, które zachwycają wzrok każdego widza. Olbrzymi plac jest ruchliwy i gwarny. Wśród zalegającego go tłumu widać mało ubiorów cywilnych. Znaczną większość zdążających do bazyliki lub powracających z niej to żołnierze amerykańscy i brytyjscy, którzy od paru dni, od chwili uwolnienia Rzymu, udają się tłumnie do tej najwspanialszej katedry chrześcijaństwa, by klęknąć przed Grobem Apostoła i pomodlić się za dusze poległych kolegów.

Plac św. Piotra odgrodzony jest od reszty miasta przez świeżo wzniesiony parkan drewniany, w którym tu i ówdzie otwarte są niewielkie wrota. Przy każdych wrotach — budki strażnicze, gdzie pilnują wejścia M.P. amerykańscy i karabinierzy włoscy. Przy budkach tablice z napisem: "Neutralne państwo Watykan. Wjazd pojazdów wojskowych oraz wejście z bronią — wzbronione". Wprawdzie właściwy teren Państwa Watykańskiego zaczyna się dopiero za bazyliką i nie wolno wstąpić na jego obszar żadnemu w ogóle wojskowemu, poza posiadającymi specjalne przepustki Sekretariatu Stanu, lecz już plac przed kościołem stanowi niejako Państwa tego przedsionek. Dalej, na lewo od katedry — druga brama, tym razem już żelazna, a przy niej warta Szwajcarów w granatowych aksamitnych mundurach i błękitnych beretach. Tutaj jest już właściwa granica.

Gdyśmy jednak dzisiejszego poranka wjeżdżali w granice Watykanu z generałem Andersem i jego otoczeniem, wszystkie te bramy stały przed nami otworem. Dowódca Korpusu udawał się na audiencję prywatną do Ojca Świętego, a w tego rodzaju wypadkach warty są uprzedzone i nawet pojazdy wojskowe mogą wjechać na terytorium państwa neutralnego. To też, gdy sznur samochodów naszych przekraczał najprzód jedną, a później drugą bramę, warty prezentowały tylko broń, my zaś zagłębialiśmy się powolutku w teren Watykanu, podążając ku gmachowi, w którym mieszczą się akredytowane przy Stolicy Apostolskiej misje dyplomatyczne.

Członkowie tych misji dyplomatycznych, poza przedstawicielami państw Osi i sprzymierzonych z nią krajów, byli przez całe cztery lata "więźniami Watykanu" w pełnym tego słowa - znaczeniu. Przebywając w samym sercu nieprzyjacielskiego kraju, mogli mieszkać jedynie w obrębie Państwa Watykańskiego. Z rozkazu Ojca Świętego przebudowano więc dla nich dawny hotel pielgrzymów i dostosowano go, w miarę możliwości, do nowego celu, któremu miał odtąd służyć. Na każdym z pięter tego obszernego gmachu urządzono mieszkanie i lokal biurowy dla jednej z misji alianckich. Gdy wchodzi się do takiego lokalu, widać wprawdzie od razu po sklepieniach komnat i innych szczegółach, że pokoje te przerobiono z cel klasztornych, przyznać jednak trzeba, że przy przebudowie zastosowano maksimum komfortu i wykazano dużo dbałości o wygodę ich dyplomatycznych lokatorów. Lokal n.p. Ambasady R.P. przy Stolicy Apostolskiej czyni nader miłe i estetyczne wrażenie. Cały ten gmach nie ma chyba podobnego sobie na świecie. W jednym budynku i obok siebie przedstawicielstwa Polski i W. Brytanii, Francji i Stanów Zjednoczonych, Brazylii i Chin. Czegoś podobnego nie spotyka się poza tym.

Przed tym właśnie budynkiem oczekiwali Dowódcę Korpusu ambasador Papée, Biskup Polowy Gawlina oraz personel Ambasady. Po przywitaniu wsiedliśmy wszyscy z powrotem do samochodów, by udać się do prywatnych apartamentów Papieża. Droga do tych apartamentów to istny labirynt, w którym od razu zgubiłby się każdy, kto nie zna jej od długich lat. Mijaliśmy niekończące się zaułki, wąskie przejazdy między starymi murami fortecznymi, galerie, kręte i tchnące dawnością uliczki. Prowadził nasz orszak jeden z wyższych funkcjonariuszy Watykanu, więc jechaliśmy pewnie



Generał Anders z otoczeniem w Watykanie

przed siebie, droga ta czyniła jednak na każdym z nas prawdziwie niesamowite wrażenie. Rozstawione w niewielkich odstępach posterunki gwardii papieskiej prezentowały broń. Wszystko to razem przeniosło nas na parę chwil w odległą zamierzchłą przeszłość. Zdawało się nam, że żyjemy w epoce Odrodzenia i że oto odwiedzamy dwór papieski w Ferrarze czy tym samym Rzymie, ale jakże odmiennym...

Wreszcie stanęliśmy przed głównym budynkiem. Znajdowaliśmy się na niewielkim, prostokątnym dziedzińcu arkadowym. Z architektury otaczających ten budynek starych murów widać było, że zawierają one jakieś długie, oszklone galerie. Mieliśmy potem przez nie przechodzić. Na spotkanie Dowódcy Korpusu wyszli przed główne wrota wyżsi urzędnicy dworu papieskiego i kilku księży.

Po szerokich marmurowych schodach weszliśmy na pierwsze piętro pałacu. I tu zaczęło się zachwycenie. Serce Watykanu, dostępne dla tych tylko, których przyjmuje Ojciec Święty, otworzyło nam nagle swe wrota i ujawniło swe skarby. Prowadzono nas przez długi szereg sal i galerii, z których każdej zawartość, wystarczyłaby chyba na urządzenie wspaniałego muzeum. Wszędzie obrazy mistrzów Odrodzenia, wszędzie wspaniałe gobeliny i arrasy, w każdej sali olśniewająco piękne sufity i odrzwia, stare i artystyczne meble sprzed wieków. Nie potrafiłbym powiedzieć dokładnie, przez ile takich sal przeszliśmy. Były ich chyba dziesiątki. Od ich świetności mąciło się po prostu w głowie.

Przy każdych drzwiach i pośrodku wielu komnat — oczekiwały nas oddziały honorowe gwardii i najróżniejszych wojsk papieskich. Halabardnicy w hełmach i barwnych strojach, żołnierze w bermycach futrzanych, do złudzenia przypominających bermyce gwardii napoleońskiej, piechota w czapkach jak z obrazu ilustrującego wojska Napoleona III, jeźdźcy w dragońskich hełmach — wszystko to prezentowało przed nami broń. Wychodzili na spotkanie Dowódcy Korpusu coraz to nowi dostojnicy kościelni, przekazywali nas sobie z rąk do rąk i prowadzili wciąż dalej i dalej. Przeszliśmy m.inn. przez salę Klementyńską, zdobną w piękne freski papieża Klemensa VIII, który jako kardynał Aldebrandini był legatem papieskim w Polsce.

Wreszcie doszliśmy do sali Małego Tronu, gdzie powitał generała Andersa minister dworu papieskiego, Mgr Mella di Sant Elia w otoczeniu szambelanów świeckich i duchownych. Stąd Dowódca Korpusu i ambasador Papée wprowadzeni zostali do sąsiedniej biblioteki prywatnej Ojca Świętego, gdzie odbyła się pierwsza część audiencji. Otoczenie generała Andersa wraz z ministrem dworu papieskiego pozostało w sali Małego Tronu.

Po piętnastominutowej rozmowie Ojca Świętego z Generałem — Papież Pius XII przeszedł do sali Małego Tronu, gdzie generał Anders przedstawił Mu kolejno wszystkich członków swego otoczenia. Z każdym z nich Ojciec Święty rozmawiał przez chwilę łaskawie, każdemu doręczył własnoręcznie swą fotografię i poświęcony przez siebie różaniec. Na zakończenie Papież stanął wśród nas i wygłosił w języku francuskim następujące przemówienie:

"Z radością witam ukochanych synów Polski, tak drogiej naszemu sercu. Są oni tu zawsze mile i serdecznie witani i mają szeroko otwarte drzwi i serce wspólnego Ojca. Życzymy wam, by spełniły się wasze marzenia. Życzymy wam jak najrychlejszego zmartwychwstania tak bardzo drogiej nam Polski. Błogosławimy wam wszystkim, rodzinom waszym, wszystkim osobom drogim waszemu sercu i wszystkim zamiarom waszym".

Podczas przemówienia Ojca Świętego mogliśmy przyjrzeć Mu się dokładnie. Dość wysokiego wzrostu, szczupły i trzymający się prosto, Papież ma pociągłą natchnioną twarz średniowiecznego ascety. Przez okulary spoglądają oczy mądre, dobre i przenikliwe. Ubrany biało, z dużym krzyżem na piersiach. Ma wygląd rześki i ruchliwy; nie znać po nim jego podeszłego wieku.

Audiencja jest skończona. Ojciec Święty żegna się serdecznie z Dowódcą Korpusu i raz jeszcze błogosławi nas wszystkich. Idziemy teraz złożyć wizytę Kardynałowi Sekretarzowi Stanu Mgr. Maglione. Znowu przechodzimy przez szereg sal i galerii pełnych nieopisanego przepychu, znowu prezentują broń przed generałem Andersem żołnierze Gwardii Szwajcarskiej w projektowanych przez Michała Anioła malowniczych mundurach żandarmerii papieskiej, gwardii palatyńskiej i szlacheckiej. Wchodzimy wreszcie do apartamentów kardynała Maglione i zaraz na wstępie, we wspaniałym przedpokoju, dostrzegamy na tacy czerwony kapelusz kardynalski. Jest to znak, że gospodarz jest w domu.

Pomimo ciężkiej choroby, Kardynał Sekretarz Stanu przyjął Dowódcę Korpusu i jego otoczenie, by w ten sposób zamanifestować swe uczucia dla Polski. Podczas dłuższej rozmowy z generałem Andersem wyraził swe głębokie sympatie dla naszego kraju oraz podziw dla Armii Polskiej i jej wspaniałego zwycięstwa pod Monte Cassino. Po skończonej rozmowie Kardynał Maglione zjawił się w sali Mniejszych Kongregacji, gdzie generał Anders przedstawił mu swe otoczenie. Kardynał wygłosił do nas krótkie, lecz nacechowane wielką serdecznością przemówienie.

Przez sale Królewską i Książęcą Dowódca Korpusu wraz z Ambasadorem Papée, Biskupem Gawliną i swym otoczeniem udał się następnie do bazyliki św. Piotra, gdzie powitany został przez reprezentantów Kapituły. Spędziliśmy chwilę najprzód w Kaplicy Najśw. Sakramentu, potem w Kaplicy Matki Boskiej Gregoriańskiej i wreszcie przy Grobie św. Piotra. Otoczeni tłumem żołnierzy alianckich, modliliśmy się o zwycięstwo Armii naszej, o szczęśliwą przyszłość Kraju i o rychły powrót do Polski.

Tyle razy byłem już w bazylice św. Piotra, a zawsze czyni ona na mnie to samo wrażenie przygniatającego ogromu i potęgi, wobec których człowiek czuje się niewypowiedzianie maluczkim. Nie ulega wątpliwości, że w tym właśnie kościele majestat i potęga Boga znalazły swój najdoskonalszy i najwymowniejszy wyraz. Przedziwna była to chwila, gdy modliliśmy się wraz z Dowódcą Korpusu w Świątyni Piotrowej. Któż mógł przypuszczać przed czterema laty, że bazylika ujrzy tak rychło mundury polskie, i to w takich okolicznościach?... Doprawdy, niezbadane są wyroki Boskie...

Tego samego dnia po południu, w organie watykańskim "Osservatore Romano", ukazał się krótki komunikat Dworu Papieskiego o prywatnej audiencji generała Andersa u Ojca Świętego. I pomyśleć tylko, że w tymże samym Rzymie padły nie tak dawno słowa: *"La Polonia e liquidata"* /Polska jest skończona/. Ten, który je powiedział, sam przestał istnieć.

ROMAN FAJANS

Na "Święto Żołnierza"

Jak będzie obchodzone w Warszawie? Czy już bez przeszkód zapłoną znicze pod kolumnadą Pałacu Saskiego? Czy buty niemieckich siepaczy nie będą rozrzucały biało-czerwonych kwiatów, złożonych na płycie grobowca? Czy za rzucenie wiązanki kobieta w czerni nie otrzyma ciosu kolbą lub nie zostanie zagarnięta na przymusowe roboty na obczyźnie?

Przed nami stoi wielka niewiadoma. Wybuchł bój o Warszawę, otwarty bój uliczny, rozpoczęty 1-go sierpnia roku bieżącego. Bój, którego wytyczonym kierunkiem stały się mosty na Wiśle; w istocie swej — bój o wyparcie Niemców ze stolicy. Pamiętajmy tę datę: przyszła w cztery lata i dziesięć miesięcy po wkroczeniu Niemców do Warszawy.

Bój ten w swej treści wojskowej jest nie tylko wielką, śmiałą, bohaterską dywersją. Zarówno walczący tam, jak my tutaj, zdajemy sobie z tego jasno sprawę. Jest to jawny bój Polaków, gospodarzy na swej ziemi, z najazdem niemieckim, który blisko pięć lat w Polsce się panoszył.

Nie pierwszy to bój i nie ostatni. Walki Armii Krajowej zaczęły się niezwłocznie po kampanii wrześniowej, rosły na sile, na znaczeniu, i wciągnęły w swoją orbitę cały kraj. Niech o tym wiedzą i mówią obcy, niech się z tym przestaną kryć swoi. "Burza" hasłem wojennym ogarnęła Polskę. Wicher ze wschodu, łamiąc zapory, usiłuje przemieścić środek jej wiru, pchnąć ją przed sobą, nadać jej swój kierunek. Burza jednak rośnie własną siłą, odśrodkowo, i gdy bije, to własnymi gromami. Jedno wszyscy mamy życzenie: obyż jak najdłużej starczyło siły tym gromom!

Kiedyś, przed laty, na grób Żołnierza Nieznanego w Warszawie zebrano ziemię z wszystkich pobojowisk Polski i z tych, gdzie się krew polska za ojczyznę polała. Dziś trudno było by złożyć taką urnę ofiarną.

Musiałaby się w niej znaleźć ziemia z pól walki we wrześniu: z Westerplatte, Helu, Kutna, Lwowa, Warszawy i Kocka. Zmarzłe bryły spod Narviku i piasek z Tobruku. Ziemia lotaryńska i ziemia z nad granicy szwajcarskiej. Odpryski skał spod Cassino i kamienie z wybrzeży Adriatyku. W urnę włożyć by trzeba ampułki z wodą wszelkich szerokich mórz świata, bowiem wszędzie bez przerwy walczyła marynarka Rzeczypospolitej. A jak uosobić bojową nieustanną ofiarę lotnictwa? Chyba popiołem ze szczątków polskich samolotów, które poszły śmiało na śmierć w nierównej walce.

Nade wszystko jednak urnę napełnić by musiała polska ziemia, płodna i plenna ziemia z kraju. Przesiąknięta krwią, przepojona łzami. Ziemia, zebrana przez długie pięć lat męki, krzywdy, lecz i walki — nieustępliwej, hardej walki, godnej wolnego narodu.

Olbrzymia by to była urna, i z wielu pobojowisk zbierać by wypadło poległych, aby wybrać Żołnierza najgodniejszego. Zwłaszcza, iż mundur nie stanowi obecnie obowiązkowej cechy żołnierskiej. Cały naród był i jest w walce, cały naród bez wyjątku składa krwawą ofiarę — cały więc naród ma prawo do rycerskich honorów.

"Ściśnijcie garść ziemi waszej, a pocieknie z niej krew męczenników" — powiedział niegdyś Papież wysłańcom z Polski, gdy przybyli prosić go o relikwie.

Znamy świętość i cenę ziemi naszej. Wiemy, czym w ciągu wieków dziedzictwo polskie bywało opłacane. Dlatego najmniejsza grudka naszej ziemi jest nam źrenicą oka. Dlatego każdy skrawek Polski, choćby najuboższy, jest nam tak bezgranicznie po synowsku drogi.

ANTONI BOGUSŁAWSKI

Jesteśmy nad Adriatykiem

(Korespondencja własna "Polski Walczącej")

Do redakcyj polskich w Anglii, Ameryce i na Środkowym Wschodzie, wciąż jeszcze płyną reportaże i felietony o walkach II Korpusu Polskiego w rejonie Cassino. Typowa musztarda po obiedzie, w tym wypadku jest podana naprawdę o wiele za późno, jako że wojska Korpusu są w tej chwili raczej daleko od koszmarnego Cassino.

Jesteśmy nad Adriatykiem. Żołnierze polscy weszli głęboko do włoskiego "buta", życie obecne wojsk polskich walczących we Włoszech jest niemniej natężone, niż pod Cassino. To napięcie życia i walki szybko usunęło z pamięci czasy niedawnej przeszłości. Było Cassino, "Widmo", Piedimonte, "Gardziel", Mass Albanetta — teraz jest Osimo, Porto Recanati, Fermo, Macerata i setki innych miast, miasteczek, wsi, pojedynczych chałup. Między pousadzanymi na górkach i w dolinach chałupami, płyną niefrasobliwe rzeczki. O każdą rzeczkę, i każdą chałupę trzeba się bić tak samo krwawo, jak przedtem trzeba było to robić w rejonie Cassino.

Ziemia nadadriatycka jest kamienista. Krew może tutaj spływać do błękitnego morza. Słońce stojące w dzień nad głowami żołnierzy, parzy boleśnie i utrudnia i tak ciężkie życie. Kończy się właśnie pierwsza dekada lipca. Na polach wyzłaca się zboże poskładane w kopy, pachną kwiaty, nocami tną komary i pełnia księżyca pomaga resztkom niemieckiej *"Luftwaffe"* bombardować wiekowe włoskie bazyliki i bezbronną ludność cywilną. Tak było ostatnio z Lorettem, nad którym Niemcy latali sześć godzin bez przerwy. Bazylika legła w gruzach. Kule i bomby pozabijały i poraniły ludność. Słowem: *Made in Germany.*

Nie jest nad Adriatykiem tak pogodnie, jak podaje londyńskie radio, którego zdaniem: "Niemcy uciekają tutaj w popłochu" . . . W ogóle, w popłochu — nieprzyjaciel ucieka przeważnie w kawiarniach i przy "drinku". Na wojnie, we Włoszech, wszelkie popłochy są niepopularne. Obie strony starają się wyleźć ze skóry, żeby zwyciężyć.

Ponieważ dotąd nie została wyjaśniona sprawa tajemnicy, dotyczącej poszczególnych polskich jednostek bojowych, walczących na froncie adriatyckim, nie bardzo wiem, czy mogę napisać, że jestem w sercu pewnej dużej polskiej "jednostki" pancernej i że widziałem, jak ta "jednostka" walczyła i zwyciężała.

Czołgi polskie przyszły nad Adriatyk spod Cassino. W rejonie zdobytego już dziś klasztoru czołgi nasze krwawiły i zwyciężały w Albanecie, na "Widmie", w Piedimonte. Krótki w czasie, lecz jakże widoczny w skutkach udział polskiej broni pancernej w walkach o Cassino, był poważną daniną krwi, był widomym symbolem chwały, zawartej w milczących kamieniach podkassyńskich wzgórz, zdobytych właśnie przez czołgi.

Nad Adriatykiem, czołgi stały się prawdziwym postrachem Niemców. Rozmawiałem o tym z jeńcami. Opowiadali: "Te wasze cholerne "pancery" są wprost straszne. Gdyby nie czołgi, to niech pan nie myśli, że z nami było by tak łatwo . . . Ale co można zrobić, kiedy cholery mimo że się do nich strzela, idą w pioruny naprzód . . ." Zdanie to jest o tyle znaczące, że Niemcy walczą doskonale. Stawiają opór najzaciętszy z zaciętych. Bronią stanowisk nie do obronienia. Wyrzuceni za drzwi włażą przez okna. Umierają z granatami w rękach. Bardzo często padają w rowach, w których czekali z miotaczami ognia na ukazanie się czołgu. Po dobie, dwu — taki łowca zasypia i bardzo często dostaje serię z *tommy-guna* w stanie śpiącym.

Ale nie chcę pisać reportażu. Chcę głośno pomyśleć nad obserwacjami, jakie poczyniłem w czasie ostatnich dni.

Do pułku pancernego przyjeżdżą korespondent. Maszeruje do dowódcy, przedstawia się, salutuje, czasem trochę się na początku rumieni i wreszcie przystępuje "do rzeczy". Zaczyna pytać. Jak było, ile panowie wzięli broni, ilu jeńców, co panowie jeszcze mogą powiedzieć ciekawego. Wchodząc do rejonu pułku, korespondent wyrzucił papierosa. Nie wypada witać się z oficerami pułku z papierosem w zębach. Korespondent myślał, że dowódca mieszka w czystej chałupie i śpi na piernatach. Okazuje się, że major ma legowisko w dołku, gdzie śpi na jednym kocu, malowniczo rozłożonym na wilgotnej ziemi, a przykrywa się własnym płaszczem, użyczonym na czas wojny przez magazyny jego Królewskiej Mości. No i cóż. Rozmowa raczej się nie klei. Trudno się porozumieć mówiąc jednocześnie dwoma różnymi językami.

Jeszcze w czasach Środkowego Wschodu, były wypadki, że "prasa" przyjeżdżająca na ćwiczenia przyjmowana była uprzejmie a lodowato. Żołnierze widzieli "z kim mają zaszczyt". Wiedzieli, że zaiteresowania pana korespondenta ograniczają się do krótkiej, czczej rozmówki, po której oni, żołnierze, zostaną w swoich *hamsinami* podszytych namiotach, a osoba "z gazety" pojedzie na dobry obiad do Kairu, Tel Awiwu, Jerozolimy.

Dziś, po Cassino i wielu dniach Adriatyku, ten język porozumienia między wojskiem a osobami z zewnątrz, stał się jeszcze bardziej złożony. Żołnierze idą z jednej trudnej bitwy na drugą. Żołnierze gęsto umierają. Żołnierze z coraz mniejszym przekonaniem czytają wypracowania zamieszczane o nich w prasie. Tak samo jest z radiem.

Wygląda, jakbym chciał napisać felieton o korespondentach wojennych. Nic podobnego. Chcę jedynie nawiązać do spostrzeżeń, jakie poczyniłem nad obliczem wewnętrznym naszego wojska. Na końcu języka wiszą mi dwa słowa: "inni ludzie". Żołnierze polscy we Włoszech są i n n y m i l u d ź m i. Wojsko nasze tutaj nie jest podobne nawet do swoich alianckich Sprzymierzeńców. Anglik, Amerykanin, czy ostatnio nawet Francuz, wie, że jeśli Bóg pozwoli mu wrócić z tej wojny, to czeka na niego rzecz dla człowieka największa: własna ziemia, rodzina, własny, najbliższy i najświętszy świat. Polacy tej gwarancji nie mają.

Oto radio podaje o walkach na ulicach Wilna. Idzie w głąb naszych ziem groźny wiatr. Nie wiemy ile naszego na ziemi naszej po przejściu tego wiatru zostanie. I dlatego, tak trudno z jednej strony o tym myśleć, a z drugiej — nie myśleć. I dlatego, żołnierz polski we Włoszech wie, że jest samotny, jak postrzelany na kamienistej górce cyprys. I dlatego, wszystko co podchodzi przed oczy, serce i mózg żołnierza, a co nie jest jego trudnym światem, jest takie obce i dalekie. Korespondent napisze to czy owo i pójdzie. Korespondent też jest Polakiem, Janem bez ziemi, ale korespondent chodzi po świecie bezpiecznym, i ma swoje "szerokie widnokręgi". Żołnierz jest przywiązany świadomością i obowiązkiem do życia, gdzie nic nie można przewidzieć ani uplanować na pół godziny z góry. Bo cóż plan; przyleci jeden celny pocisk i będzie po wszystkim.

Można nie bez uzasadnienia przypuszczać, że jeśli wojna kiedyś się skończy, i chociaż mała część żołnierzy polskich wróci "z ziemi włoskiej do Polski", żołnierze ci, staną się zaczątkiem nowego, twardego i twórczego społeczeństwa. Wojenna szkoła życia jest krwawa i trudna. Ale jeśli już ktoś tę szkołę przejdzie, będzie twardy i trwały, jak górski granit.

* * *

W obecnej sytuacji nad Adriatykiem, stosunek cenzury alianckiej do polskiej broni pancernej, która walczy tutaj na całym froncie, jest mniej więcej taki, jak stosunek starej panny do zalotów gorącokrwistego adoratora. Chciałabym, ale nie mogę.

Niemcy wiedzą doskonale, że na wielu dziesiątkach kilometrów walczą właśnie polskie czołgi. Cenzura nie pozwala o tym pisać. Pytana dlaczego to robi, mówi: "Chciałabym, ale nie mogę". Tak jak stara panna. No, nie, to nie. Będziemy milczeć i my. Napiszemy, tylko to, co chyba można podać zawsze. Na przykład jak . . . się jeździ na . . . niemiecką stronę. Oczywiście, dzięki przypadkowi.

Było tak. Szukałem pojazdu, których za wiele nie ma, żeby jechać do świeżo zdobytego miasteczka. Nawinął się porucznik M., przed wojną mistrz polski w boksie, w wojsku skończony pistolet i ryzykant. Jakoś dotąd wszystko panu porucznikowi wychodzi. W odniesieniu do niego nie można nawet użyć powiedzenia, do trzech razy sztuka. "Trzeci raz" ryzykanctwa był chyba w pierwszym dniu walk Polaków we Włoszech. Dotąd tych "razy" było chyba kilka tysięcy. Ja narwałem się na następujący "raz".

Więc jest górka. Na górce stoi miasteczko. Świeci słońce. Włochy łażą w tę i nazad. Nasz łazik przemyka uliczkami z szybkością sześćdziesięciu mil angielskich na godzinę. Za górką, o kilometr, są Niemcy. Ja o tym nie wiedziałem. Porucznik wiedział. Nic nie powiedział. Chciał, jak się potem okazało . . . zobaczyć, gdzie są ich pierwsze stanowiska.

W pewnej chwili na drodze zatrzymuje nas Włoszysko z wybałuszonymi oczami: — *"Tedeschi* . . ." i pokazuje palcem na różowy domek o sto pięćdziesiąt metrów. Porucznik mówi: *O Key.* Włoch ucieka truchtem naprzód. Ja pytam: — "Jeśli tam są Niemcy naprawdę, nie powinniśmy dalej jechać. Czy pan koniecznie chce się jeszcze dziś dostać do niewoli?" Porucznik uśmiecha się: — "Nic się pan nie bój". Co miałem robić? Postanowiłem się nie bać.

Minęliśmy różową chałupę. Włosi patrzą z okien. My jedziemy naprzód. Koło mnie siedzi fotograf. Też kawał wariata. Każe zatrzymać wóz. Fotografuje niemieckie tabliczki na bramach i popalone szwabskie czołgi. Miasteczko do wczoraj było nasze. Chałupy do wczoraj były nasze, teraz są niemieckie, wieczorem znowu powinny być nasze. Na wojnie jak na loterii.

Ale jedziemy. W tej chwili rozległ się uroczy skowyt "Spandau'a". Jedziemy wolno, wolniuteńko, żeby nie kurzyć. Ale "Spandau" gra. Zawracamy. Już wiemy, gdzie są pierwsze stanowiska niemieckie. Nie nasza to sprawa, według regulaminu wojskowego, ale porucznik był uparty i ciekawy. Jedziemy po biblijnych drogach — "co koń wyskoczy", jakby powiedział kawalerzysta. Okolica pełna jest "zbójów i dzikiego zwierza" powiedziałby patrząc na naszą trasę Henryk Sienkiewicz.

Udało się.

* * *

Nad Adriatykiem bez przerwy grają działa wszystkich możliwych rodzajów artylerii. Płaczą włoskie dzieci, nocami palą się chałupy i stogi siana. Dywersanci i szpiedzy, mrugają z górek światełkami. Potem, po takich mruganiach następuje z niemieckiej strony ogień artyleryjski albo bombardowanie.

Wczoraj padał deszcz. Zrobiło się wielkie błoto. Sprzęt polski stoi zamaskowany po wszystkich możliwych i niemożliwych dziurach. Ludzie noszą na butach tonny błota. Ciężko na sercu i w nogach.

Wspomniałem o sercu. Dowiedziałem się przed kilku dniami o wielkim nieszczęściu. Nie płacz malutka Basieńko w dalekiej Jerozolimie, ale Twój Tadzio jest ranny. Dostał odłamkiem w rękę. Nie wiem Kochanie, kiedy będzie mógł ci rysować kotki i pieski. Nie wiadomo co będzie z ręką. Malarz ranny w prawą rekę.

Tadek zawsze był pogodny. Pracował jak szatan: malował, pisał. Ostatnio wydał nakładem "W drodze" tom świetnych wierszy. Pisał do Basi listy. Basia ma dwa lata, ale listy były tak piękne, że musiała je rozumieć. Tak jak chyba zrozumiała wiersz dedykowany jej właśnie, a zamieszczony w "Paradzie".

Ech, Tadek. A tak niedawno jeszcze piliśmy wino w Neapolu i Ty wierzyłeś, że napijemy się niedługo znowu.

Ranny jest również mój drugi przyjaciel: drugi Tadzik. Cholerny świat. Bardzo na sercu ciężko.

* * *

Kiedy przed kilku dniami jechałem z francuskiego odcinka frontu, dowiedziałem się od przypadkiem spotkanego na drodze kierowcy, że w kierunku takim a takim, maszeruje grupa pułkownika B. Grupa *"Bob"*. Wtedy pułkownika nie znałem jeszcze. Ale już wtedy, na dzikiej drodze, zapachniało polskim bohaterstwem.

Idzie grupa. Dokoła Niemcy. Grupę prowadzi smukły wysoki pan, który zstąpił z obrazu Kossaka i idzie z nonszalancją w piekło ognia i min. To były czołgi. Więcej nie powiem bo: cenzura i tajemnica. Jak wyglądał marsz grupy *"Bob"* dokładnie wiedzą Niemcy, którzy marsz przeżyli na własnej skórze.

Wspominam ten marsz patrząc na zakurzonego pułkownika. Takim go pamiętam spod Piedimonte, kiedy chodził pod oszalałym ogniem moździerzy, wyprostowany i spokojny.

* * *

Zielone oczy patrzą na fotografię Jędrusia. Fotografię sześciomiesięcznego syna przysłała dziś porucznikowi żona. Nad naszymi głowami syczą pociski i przewalają się po pagórach. W pobliżu wisi w powietrzu dymek po szrapnelu. Niemcy strzelają na drogę. Szukają stanowisk naszej artylerii. Fotografia Jędrusia wędruje do kieszeni, porucznik wyjeżdża na rozpoznanie.

* * *

Korpus Polski zbliża się powoli ale stale do Ankony. Szpitale nasze są coraz pełniejsze. Żołnierze, mają coraz bardziej zaczerwienione oczy. "Rep-y" dniami i nocami pracują nad uszkodzonym sprzętem. Złe życie daje raz — niemoc i słabość, raz — siłę. Polakom to życie nad Adriatykiem daje siłę.

Najsmutniejsze są przedwieczory i wieczory. Przedwieczorne chmurki układają się na adriatyckiej wodzie w niepojęcie piękne desenie. Wiemy patrząc na kolorowe morze, że jutro będzie ono takie samo. Wieczorem czekamy księżyca i turlania pod niebem ciężkich pocisków. I czekamy jeszcze na listy. Każdy od kogoś. Listów przychodzi tutaj niewiele. Może dlatego, że kraj taki zapowietrzony wojną. A może . . . nie wiem.

Jesteśmy nad Adriatykiem. Mamy konkretne zadanie na konkretnym froncie. I mamy konkretne myśli: żeby jakoś tę wojnę wygrać, skończyć i móc wtedy spokojnie pomyśleć: no, zacznijmy teraz żyć od początku.

Włochy, w lipcu.

JERZY BAZAREWSKI

Czołgi na wzgórzu 228

Czołgi stoją na podstawie wyjściowej. Przed chwilą odbyło się ostatnie zapoznanie załóg z terenem i obecnie czeka się tylko na zapowiedzianą nawałę artylerii, która o wyznaczonej godzinie ma rozpocząć bitwę. Jest ciepły, blado-błękitny poranek. Po szczytach wzgórz wloką się jeszcze lekkie, postrzępione mgły.

Ppor. F. zapala fajkę i ogarnia wzrokiem coraz bardziej, coraz głębiej błękitniejące niebo, falistą linię widnokręgu oraz pobliskie wzgórze, oznaczone na mapie cyfrą 228, wzgórze, na którym są Niemcy. Nieprzyjaciel siedzi tam silnie umocniony i panuje ze swych stanowisk nad okolicą. Kilkakrotne natarcia piechoty na to wzgórze załamały się we wściekłym ogniu nieprzyjaciela. W dzisiejszym uderzeniu mają wziąć udział nasze czołgi, by pod osłoną swych dział wprowadzić na wzgórze piechotę i ułatwić jej zniszczenie niemieckiego gniazda oporu.

Ciszę wstającego dnia wstrząsa nagle łoskot rwących się pocisków. To nasza artyleria rozpoczęła nawałę ogniową. Jest to tak nagłe, tak wstrząsająco kontrastowe z poprzednią nieruchomą ciszą, że wybuchy uderzają jak piorun i łączą się w jeden olbrzymi, ogłuszający grzmot.

Równocześnie przemawiają czołgi. Zaczynają bić po stanowiskach niemieckich swoim najsilniejszym i zarazem najgroźniejszym elementem ogniowym, to znaczy kruszącymi pociskami przeciwpancernymi. Na wzgórzu rozpętuje się istne piekło. Tryskają w górę gejzery ognia, kamieni i ziemi. Budynki, w których ukryte są nieprzyjacielskie stanowiska broni maszynowej, rozsypują się i walą z trzaskiem w gruzy. Przez kłęby dymu i pyłu widać nagłe zamieszanie i popłoch wśród Niemców. Zaczynają pośpiesznie wyskakiwać ze swych stanowisk i uciekać do tyłu.

Wtedy pada, troszkę "z lwowska" wypowiedziany, rozkaz dla czołgów: "Urszula raz — Urszula dwa — wykonywać ruch!" Motory zaczynają grzmieć i czołgi ruszają po zboczu bijąc bezustannie z dział w ustępujących Niemców. Za czołgami, w odległości mniej więcej 200 metrów, posuwa się piechota. Idzie śmiało, czując się bezpieczniej pod ochroną czołgów.

Ppor. F. przeciera dłonią czoło. W czołgu jest strasznie gorąco i duszno. Działo strzela bez przerwy. Karabiny maszynowe biją krótkimi, zajadłymi seriami. Pozycje nieprzyjaciela są coraz bliżej. Widać mury walące się pod uderzeniami pocisków, rwące się drzazgi, pękające odłamy tynku i padających na ziemię niemieckich żołnierzy. W pewnej chwili dym zasłania ppor. F. pole widzenia. W tym samym momencie słyszy przez radio rozmowę jednego z czołgów: — "Uważaj! Przed nami kupa szwabów! . . ." Sekunda ciszy i odpowiedzią na to jest ostry, suchy trzask obu c.k.m.ów, podchwycony jeszcze przez włączony mikrofon.

Strzelenina stopniowo traci na natężeniu i powoli cichnie. Czołgi zatrzymują się, podciąga piechota. Ze stanowisk niemieckich pozostały gruzy. Wszędzie leżą zabici i ranni Niemcy.

Lecz zmęczone załogi nie mogą myśleć o odpoczynku, czy wyjściu z czołgu. Sygnalizują właśnie, że Niemcy przygotowują przeciwnatarcie, które ma być wsparte czołgami. Załogi czołgów muszą być w ciągłym pogotowiu, w nieustannej czujności i trwać w rozpalonym od słońca pancerzu.

Zapada już noc, zmęczenie narasta z każdą godziną. W czołgu jest nieprawdopodobnie duszno, trzeba użyć całej siły woli, by walczyć ze snem. Ogromnie denerwujące jest to wyczekiwanie w ciemności na przeciwuderzenie nieprzyjaciela. Oczy bolą od patrzenia w daleką, granatową noc. A noc jest cicha i tak chciało by się podnieść stalową klapę, poczuć na twarzy łagodny powiew wiatru i delikatne muśnięcie ciepłej, pachnącej przestrzeni . . .

Wreszcie o 3-ej nad ranem, kiedy znużenie i potrzeba snu są najbardziej silne i tak niesłychanie trudne do przezwyciężenia, nadchodzi przeciwnatarcie niemieckie. Niemcy usiłowali najwidoczniej zaskoczyć nasze oddziały i wykonać uderzenie z nienacka, gdyż podeszli cicho niemal pod same czołgi. Alarmowa seria c.k.m. jednego z czołgów daje hasło do nowej walki. Zaczynają strzelać wszystkie czołgi. Noc jaśnieje nagle, nasiąka czerwienią wybuchów, zakwita rozpalonymi smugami przelatujących pocisków. Gwałtowność ognia oszałamia Niemców, przytłacza do ziemi i zmusza wreszcie do szybkiego odwrotu. Nieprzyjaciel spływa ze wzgórza i niknie w ciemności, zostawiając zabitych i rannych.

I znowu jest świt, blado-błękitne niebo i białe obłoki mgieł na szczytach wzgórz . . . Niemcy chyba nie przyjdą już więcej. Dostali zbyt bolesną nauczkę.

Ppor. F. stoi obok czołgu i pali swą ulubioną fajkę. Jedna z załóg przyprowadza jeńca. Znaleźli go za stogiem słomy. Ukrył się tam i przeczekał aż do rana. Jest to młodziutki, szesnastoletni chłopak. Patrzy trochę nieprzytomnie na zdruzgotane przez polskie czołgi stanowiska i drży ze strachu czy zdenerwowania . . . Na ziemi leżą bezwładne, nieruchome ciała jego kolegów.

Zza widnokręgu wypływa czerwone słońce. Dzień będzie znowu pogodny i ciepły . . .

Wzgórze 228 jest zdobyte.

Włochy, w lipcu.

JANUSZ WEDOW

MARYNARKA WOJENNA



fotomontaż JANA POLIŃSKIEGO

Powrót do Francji

(Korespondencja własna "Polski Walczącej")

Po czterech latach powróciłem do Francji.

Nie był to powrót ani triumfalny ani radosny. Z daleka grzmiały działa, kiedy przez szarą mgłę pojawiła się najpierw niebieska wstęga brzegu; potem wyrósł z morza las masztów, jak okiem sięgnąć w prawo i w lewo i przesłonił wszystko; potem dopiero zobaczyłem Francję: plażę pokrytą setkami łodzi wyładowczych, żelaznych pontonów, jakichś pomostów, kładek, ciągników, dźwigni i kranów; inne ciągniki, dźwignie i krany wżerały się, jak w żywe ciało, w rdzawą ścianę normandzkiego wiszaru; na jej szczycie, rozbita pociskami i koloru zgliszczy, wznosiła się ku niebu pełnemu samolotów — gotycka wieża kościelna.

Nie zarzuciliśmy jeszcze kotwicy, kiedy niewiadomo skąd nadciągnęły ku nam stadami łodzie-samochody i oblepiły statek dokoła. Chwilę później na pokładzie zaroiło się od ludzi: stu amerykańskich murzynów, żujących gumę, w hełmach, zielonkawych mundurach i żółtych rękawiczkach, ściągało płachty, rozrzucało deski zamykające luki, puszczało w ruch krany, mocowało skrzynie do haków. Ładunek pocisków artyleryjskich, wystarczający dla zrównania z ziemią nowego miasteczka, zakołysał się wysoko nad głowami, i miękko zjechał za burtę. Wciśnięte głęboko w wodę pod ciężarem żelaza, pierwsza, druga, trzecia łódź-samochód wracały teraz w kierunku lądu.

Żujący gumę murzyn w hełmie i żółtych rękawiczkach przewiózł mnie na takiej łodzi-samochodzie, na skrzyni z amunicją, ze statku na brzeg francuski. Stanąłem na piasku trochę oszołomiony, nie tym, że jestem z powrotem we Francji, ale hukiem motorów, zgrzytem kół zębatych, rytmem wielkiej fabryki, która chwyciła mnie w swe tryby. Zapytałem innego murzyna, jak się nazywa miejscowość tam na górze, ale on odpowiedział, że nie wie. Wówczas wybuchła mina, gdzieś w skałach, na prawo. Zakrztusiłem się żółtym gryzącym kurzem, który zakrył rzeczy i ludzi.

* * *

Najwygodniej jeszcze było usiąść w jednej z wyrzuconych na brzeg łodzi wyładowczych. Podporucznik Charles Taylor, urodzony w roku 1922-gim pod Nowym Jorkiem, poczęstował mnie *Chesterfieldem* i powiedział, abym zabrał całą paczkę, gdyż ma ich pełne kieszenie.

—Tak jest, mówił on, plaża ta wygląda nie do zdobycia, ale też tu właśnie ponieśliśmy może najcięższe straty. Widzi pan, te zielonkawe budowle u stóp skały, tutaj i tam — więcej ich jest za zakrętem — to były bunkry niemieckie. Inne są wykute w ścianie, a jeszcze inne na szczycie. Powinien pan je zwiedzić. Na górze jest bunkr w kształcie wielkiego cylindra z betonu na półtora metra. Wewnątrz karabin maszynowy na pneumatycznym urządzeniu: podnosi się i zjeżdża w dół za pociśnięciem guzika. Na ścianie, od środka, wyrysowano cały krajobraz i wszędzie podano cyfry. Nie wychylając głowy, Niemiec mógł strzelać w dzień i w nocy, tak jakby wszystko widział. W jednym z nich znaleźliśmy puste butelki szampana i damską bieliznę . . .

Taylor opowiedział mi, jak po wylądowaniu Amerykanie musieli się dosłownie wgryźć w piasek, zbici z nóg burzą ognia i żelaza. Rozkaz był: dojść do skały za wszelką cenę, zdobyć ścianę, i dalej iść naprzód. Ale jak dojść do skały, kiedy drogę do niej zagradza śmierć? Gryźli tak piasek godzinę, dwie, trzy. W końcu szał ogarnął Amerykanów. Zerwali się, nie doszli, ale jak wariaci dopadli skały, zdobyli ścianę, o 9-tej byli w miasteczku i zatrzymali się dopiero o pięć mil na południe.

Nie, Taylor nie był nigdy przedtem w Europie. Chciał zwiedzić Paryż, ale przeszkodziła mu wojna. To co widział dotąd we Francji, nie wydawało mu się zbyt zachęcające. Mógłby mnie zaprosić do swego namiotu na kawę, ale trzeba się grzebać w gruzach przez kwadrans. Właściwie nic tu nie ma. Czy cała Normandia jest taka?

* * *

Parę silnych bliskich eksplozji rozdarło powietrze. Rząd ciężko obładowanych łodzi-samochodów, ociekających jeszcze wodą, skręcał pod ruinami willi, z której został tylko ganek i napis "La Mouette", w górę po stromej drodze, wykrojonej w urwisku w cztery dni przez amerykańskie maszyny i chował się między stalowymi kranami zaimprowizowanej wyładowni. Drugi rząd łodzi-samochodów zjeżdżał w dół. Inne wozy, wszystkie pomalowane na ten sam kolor brudno-zielony, z taką samą białą gwiazdą, i wspólną wszystkiemu mrówczą pilnością, szły brzegiem, między stosami żelaztwa, na wschód i na zachód. Motory huczały na ziemi i motory huczały w powietrzu. Ludzie w zielonkawych mundurach i okrągłych hełmach stawali się sami w tym święcie z metalu już tylko jednym z elementów powszechnego mechanizmu.

Na gruzach rozwalonego fortu, z którego ocalała tylko lufa obłożona workami piasku, siedział z podwiniętymi nogami amerykański żołnierz, przyciskał ucho i usta do swego miniaturowego aparatu radiowego i monotonnym nosowym głosem wołał jakiś statek, o parę mil na morzu: *"Hallo Mary, Johnny calling, I have a message for you, over"* /Hallo Mary, woła Johnny, mam dla was meldunek, skończyłem/. I po chwili znowu *"Hallo Mary, Johnny calling . . ."* Obok, dwóch innych podobnych żołnierzy, ze słuchawkami na uszach, dreptało pięć kroków wprzód i pięć kroków w tył, pięć kroków w przód — i tak w kółko, przesuwając po rozoranej ziemi elektryczny wykrywacz min na drążku. Ktoś zepchnął mnie w bok, ażeby przepuścić czterech żołnierzy, niosących trumnę, zbitą z desek, z których nie starto napisu: *"Don't drop"* /"Nie rzucać"/.

Ogłuszony łomotem czołgów, pnących się między maszynami, mielącymi kamienie ze zburzonych domów i pługami poszerzającymi świeżo zbudowany trakt w przewidywaniu jeszcze większych transportów, dochodziłem teraz na szczyt nadbrzeżnego wzniesienia. Droga skręcała ostro za wielkim rumowiskiem po jakichś domostwach i między dwoma strzaskanymi platanami zbiegała się ze starą francuską szosą. Parę okaleczałych will, zielona kępa drzew, duży napis "Dubonnet" na bielonej ścianie — i bezustanna struga wozów dążących na południe, zawiodła mnie na skraj miasteczka.

* * *

Sądząc z ocalałego portalu, dwóch czy trzech rozbitych łuków i ruin wieży, musiał to być jeden z tych normandzkich kościołów, wybudowanych w "szczęśliwych latach" po klęsce Henryka III, i które potem przez 700 lat żyły historią Francji, przeobrażały się w miarę francuskich zwycięstw i pogromów, zdobiły romańskie okna gotyckimi witrażami, płonęły wtedy, kiedy Francja płonęła i odradzały się wtedy kiedy Francja odnajdowała swoją potęgę, bogaciły się w marmurowe sarkofagi za czasów Chartier'a i w złote anioły za Vauquelin'a de la Gresnaye. Została też brama, z ciężkich nierzeźbionych bierwion, koloru rdzy, zamknięta teraz na łańcuch i kłódkę, brama nigdzie nie prowadząca, gdyż to, czego broniła, było już tylko wielkim rumowiskiem. Na kawałku muru wisiała czarna tablica z napisem: "Zabrania się pod karą rzucać śmiecie i odpadki przed kościołem i na cmentarzu".

Stary cmentarzyk był kupą kamieni, pogruchotanych krzyżów, sterczących między połamanymi tablicami, na których wieki zatarły imiona, kościelnych gzymsów, tynku i pyłu. Chrystus odbity z grobowca rozkładał ręce na strzępach zielonkawego płaszcza wojskowego. Oddzielony od tych miejsc spustoszenia i ciszy tylko stosem pustych puszek od konserw i kartonów po *Chesterfieldach*, panoszył się obok hałaśliwy, w mocnych kolorach i zdobywczy amerykański obóz: równe rzędy brunatno-zielonych namiotów, tłum ludzi w jednakich okrągłych hełmach, o podobnych nonszalanckich ruchach, a nad głowami — gwiaździsty sztandar.

Ażeby wrócić do szosy, którą ciągnął wciąż na południe niekończący się korowód samochodów, czołgów i dział, musiałem przekroczyć rów, i przecisnąć się przez grupki żołnierzy, czekających prawdopodobnie na transport. Leżeli bez ruchu w zaśmieconej trawie i leniwymi głosami, jakby bredząc przez sen, prowadzili rozmowy.

—Oczywiście, mówił jeden z nich, że u was na południu nie ma miast. Miasta są na północy: New York, Philadelphia, Chicago, Detroit, Cleveland, Baltimore . . .

—A Saint Louis? spytał drugi.

—Saint Louis to dziura. W Chicago mamy większe przedmieścia.

—Nie większa dziura, niż Baltimore.

—Ciekaw jestem, przerwał trzeci, jak wygląda Paryż i Berlin. Rodzina mojej matki pochodzi z Aalborga. To zdaje się Holandia.

Potężny, zażywny i dobrodusznie wyglądający blondyn, który w innej grupie zajmował całą szerokość rowu, przeciągnął się i mruczał ziewając:

—Czego mi tutaj najbardziej brak, to naszej dobrej sałaty. Przyniósłbyś, Bill, taki talerz wyłożony grubymi soczystymi liśćmi, na nich pomidor pokrajany w plastry, a w środku galaretka pomarańczowa ze śliwką nadzianą serem. Do tego pół cytryny i duża szklanka zamrożonego "V8" . . .

* * *

Miasteczko leżało z boku, na prawo od szosy, przesłonięte od niej gruzami dwóch domów i naprędce usypaną barykadą. Przesłona ta i kępy drzew sprawiały, że w szerokiej, pustej ulicy, między dwoma rzędami niskich domków, było prawie cicho: huk motorów i maszyn dochodził tu przytłumiony, można go było nie słyszeć, tak jak się nie słyszy szumu morza. Innym uderzającym kontrastem od tego wszystkiego co widziałem dotychczas było, że ta część miasteczka nie nosiła żadnych śladów zniszczenia, właściwie żadnych śladów wojny. Drzwi były pozamykane, a niektóre okna zabito deskami, poza tym wszystko było nietknięte, ale jakby spłowiałe, zapylone, zapomniane.

Jak w każdym normandzkim miasteczku, domy nie stały równo, jedne z nich wychodziły wprost na ulicę, inne odgradzały się sztachetami, przed największym z nich czerwieniały na ładnie utrzymanych klombach pęki pąsowych róż. Na szarej ze starości ścianie wisiały jakieś afisze, ale zdarto je, zostały po nich brudne strzępy papieru i jaśniejsze plamy. Na lewo, na bezokiennym murze piętrowej kamieniczki, mocno wyblakły szyld reklamowy: staromodnie uczesana pani przy maszynie do szycia, wpleciona w żółtą literę "S", i napis: *"Machines à coudre Singer"*. Dalej znowu: *"Dubonnet"*.

Nie, choć mogło tak się wydawać na pierwszy rzut oka, miasteczko nie było ani opuszczone, ani wymarłe. Za małymi szybkami okien błyskały twarze. Stary człowiek w szarym kitlu majstrował coś w podwórku. Bardzo gruba i bardzo czerwona kobieta w czarnej sukni rozsiadła się na ławeczce w ogrodzie i szyła pod bacznym okiem dużego, krasego kota. Na innym podwórzu młody mężczyzna w kaszkiecie i granatowym kombinezonie robotniczym zaprzęgał konia do dwukołowego wozu. Mała czarnowłosa dziewczynka z dużą trójkolorową kokardą przypiętą do sukienki wybiegła z "Boulangerie", dźwigając trzy długie bochenki francuskiego chleba. Uśmiechnąłem się do niej:

—*Ca va, petite?*

Dziewczynka podniosła na mnie czarne zaciekawione oczy:

—*Bonjour monsieur* powiedziała uprzejmie i pobiegła.

Dalej jeszcze, już prawie na końcu ulicy, dwie młode dziewczyny z koszykami na zakupy plotkowały na środku jezdni. Obie były ładne, jednakowo czarno ubrane, jedna niższa, o drobnych rysach i śniadej twarzy, druga silna, hoża, wesoła, z przypiętą do czarnego kołnierzyka odznaką amerykańskiego żołnierza, okrągłą mosiężną tarczą z literami "U.S." Zażartowałem, przechodząc:

—*Américaine?*

—*Pensez vous!* parsknęła śmiechem, czy mam minę z Hollywood? Ale, dodała, pan jest Francuzem?

—Nie. Za to mieszkałem niedaleko stąd, kiedy pani jeszcze nie było na świecie.

Ulica biegła teraz wzdłuż odrapanego muru starej farmy, minąłem ostatnie zabudowania, dużą przechyloną tablicę z napisem *"Thé Lyons"*. W khaki *battle-dressie*, szedłem sam środkiem pustej drogi między sadami. Czerwone łaciate krowy pasły się na łące. Ptaki śpiewały w zagajniku. Było duszno, ciężkie stalowe chmury kłębiły się nad lasem. Posłyszałem znów działa, jak odgłos burzy, która przechodzi bokiem. Młody człowiek w granatowym kombinezonie, podobny do tego który zaprzęgał konia, mijając spojrzał na mnie pytająco. Zasalutował do kaszkietu, i pozdrowił mnie po angielsku, z francuskim akcentem:

—*Good morning.*

Odpowiedziałem mu: — *Good afternoon*, gdyż powoli wieczór się zbliżał.

* * *

Tak to, po czterech latach, powróciłem do Francji.

ZYGMUNT LITYŃSKI

Dwaj jeńcy niemieccy

Było to piątego lub szóstego września 1939 roku. Nasz dywizjon zestrzelił "Messerschmitta 110", jego załoga wyskoczyła na spadochronie. Obserwator złamał przy skoku nogę, został więc z miejsca odesłany do szpitala. Pilota natomiast przyprowadzono do dowództwa dyonu, była to bowiem najbliższa władza wojskowa i miejsce, z którego można było uzyskać połączenie telefoniczne.

To pierwsze spotkanie z Niemcem w charakterze jeńca utkwiło mi głęboko w pamięci. Pamiętajmy bowiem, że było to już w tym czasie, kiedy cała Polska wszerz i wzdłuż poznała bezprzykładne okrucieństwo *Herrenvolku*, ostrzeliwanie i bombardowanie szpitali "Czerwonego Krzyża", kolumn uchodźców i nawet pastuchów w polu. Było to również w płomieniu najbardziej zaciętych i krwawych walk z dziesięciokrotnie przeważającym nieprzyjacielem. Istniało więc już tysiące przyczyn, by nie mieć w sercu nic poza nienawiścią do wroga.

Jeńca wprowadzono do pokoju dowódcy dywizjonu, gdzie się znajdowałem także. — Dobrze, że tu jesteś — mówił do mnie dowódca. Pokładał oczywiście większe zaufanie w mojej znajomości języka niemieckiego, niż ja sam.

Niemiec był słuszny, pewny siebie i arogancki jak gdyby pod wpływem jakiegoś narkotyku. — *Heil Hitler*! — rzucił wyzywająco od progu.

Dowódca dywizjonu milczał, widziałem jednak po jego kurczowo zaciśniętych szczękach, że pasuje się ze sobą, że tłumi wewnętrzną wściekłość. Przeszywał jeńca twardym, bezwzględnym wzrokiem. Po kilku sekundach ciężkiego milczenia, cichego zmagania się dwóch nienawiści, dojrzałem krótki, jak błysk, przejaw strachu w oczach Niemca. Wiedział, że z tej atmosfery okrucieństw, którą on sam i jemu podobni stworzyli, nie może oczekiwać niczego poza bezwzględnością. Strach ten jednak — przejaw instynktu życia, został pokonany. Podniecenie zabarwiło twarz jeńca. Wyprostował się do granic możliwości, jakby chciał przerość samego siebie i patrząc przez nas gdzieś w dal, może w wyimaginowany portret Führera, wycedził z teatralnym patosem:

—Jestem gotów na śmierć.

—Zapytaj tego błazna — mówił do mnie dowódca dywizjonu — czy nie zje czego albo czy nie napije się herbaty, zanim go wezmą do tyłu.

Nie, Niemiec nie chciał nic jeść ani pić, nasze jednak pytanie utwierdziło go w przypuszczeniu, że chwile jego życia są policzone. Prosił nas, by mu pozwolono napisać do kogoś tam listy. Gdy mu tłumaczyłem, że będzie miał czas na pisanie później, nie rozumiał tego, wzbraniał się i chciał umierać za Führera natychmiast.

To zdarzenie odżyło mi niedawno w pamięci, gdy tu w Anglii zbudzono mnie którejś nocy, prosząc bym służył za tłumacza, gdyż *"Home Guard"* przyprowadziła niemieckiego lotnika, który wyskoczył na spadochronie z zestrzelonego samolotu. Z rozmowy Niemca z *"Home Guard"* wynikało, że znał on zaledwie dwa zdania w języku angielskim *"Do not fire"* /Nie strzelać/ i *"All right"* /Tak jest/.

W baraku, do którego wszedłem, była garść wojskowych zmieszanych z cywilami. W środku tego tłumu Niemiec opychał się sandwiczami i herbatą. Był jeszcze wzburzony i podniecony ostatnimi przeżyciami, ale szczęśliwy, jak po przebrnięciu ostatniego trudnego etapu. Na dźwięk mowy Goethego z miejsca nabrał do mnie zaufania i ustosunkował się przyjacielsko. Mówił od radzu skąd wystartował, którędy leciał, jak go zestrzelili. Pytał się czy to prawda, że jeniec niemiecki dostaje takie same racje żywnościowe, co żołnierz brytyjski. Był ciekaw swego losu, a zwłaszcza tego, kiedy będzie mógł napisać do swojej rodziny.

—Będą bardzo szczęśliwi, gdy się dowiedzą, że żyję — mówił.

Miałem na sobie lotniczy półkożuszek, bo noc była chłodna, byłem również bez czapki, jeniec więc nie miał ani cienia wątpliwości, że rozmawia z Anglikiem. Nagle jeden z moich angielskich towarzyszy odsłonił mój półkożuszek i wskazał Niemcowi moją polską odznakę lotniczą.

—Zapytaj go czy on wie co to znaczy — rzekł do mnie.

Pytanie było bezcelowe. Niemiec zbielał. Cała jego dobroduszność i przyjacielskość zniknęły w jednej chwili. Wyglądał jak złoczyńca przyłapany na gorącym uczynku. Milczał bezradny i zalękniony, wreszcie po chwili zaczął się jąkać:

—Ja nie znam Polski . . . ja tam nie walczyłem. — Umysł jego pracował w tym czasie. Przypomniawszy widocznie, że z dokumentów jakie posiada przy sobie można będzie wyrobić sobie wręcz odwrotny pogląd na tę sprawę, zmienił zdanie. — Właściwie byłem tam, ale to było bardzo krótko . . . — Nagle przyszła mu szczęśliwsza myśl do głowy. — Ja jestem tylko żołnierzem. Dużo z nas żołnierzy miało nawet prawdziwą sympatię do Polski. Nieszczęściem utożsamiają nas zawsze z "Gestapo". My wojskowi nie cierpimy "Gestapo" także.

Zdawało mu się, że moje usposobienie może wpłynąć na jego los w przyszłości, więc robił to co mógł, by wybielić całą "Luftwaffe" a wraz z nią i siebie.

Porównywując w myśli tych dwóch jeńców na przestrzeni czterech i pół lat, pomyślałem, że narkotyk, który działał doskonale w okresach wojen "blitzowych", nie działa na dłuższą metę. Teatralny bohater nie wytrzymuje długiej próby życia z jego trywialnościami. Spod maski nazisty zaczyna przeglądać pomału zwyczajny śmiertelnik. Ten zwyczajny śmiertelnik przestał wierzyć "największemu", "temu, który wie najlepiej", "który prowadzi do pewnego zwycięstwa". Ten zwyczajny, wytrzeźwiony śmiertelnik nie kryje się z tym, iż uważa niewolę za zdumiewające i godne zazdrości szczęście.

STEFAN ŁASZKIEWICZ

Książki o wojsku i wojnie

Dowódca i podwładny

Zagadnienie nie dzisiejsze — można powiedzieć, że wieczne. Zawsze ludźmi, zgromadzonymi dla dokonania czynu,- ktoś dowodził. Bez dowódcy wysiłek zbiorowy rozprasza się, nie udaje się, lub idzie na marne. Tak było, tak jest i tak będzie. W najbardziej ludowładczych ustrojach, w osobliwych chwilach dziejów, zjawiali się wodzowie. Różnica między nimi a samozwańczymi hersztami polegała po pierwsze na źródle ich władzy, po drugie — na nie nadużywaniu zyskanej władzy po wygaśnięciu jej czasu. Zakres jednak władzy musiał być zawsze zasadniczo ten sam.

Są to rzeczy mniej więcej dla każdego jasne i nie ma potrzeby dłużej nad nimi się zatrzymywać. Nie chodzi też o wyciąganie wypadkowej między "Umową społeczną" Jana Jakuba Rousseau, a teoriami dzisiejszych dyktatorów, faszystowskich, nazistowskich lub innych. Nie chodzi nawet o najnowsze zdobycze psychologii w zakresie studiów nad zbiorowościami, choć studia te są bardzo pożyteczne. Chodzi o wojsko: o dowódcę-żołnierza i o żołnierza-podwładnego.

Wojna obecna przyniosła zasadnicze zmiany w uzbrojeniu wojska, w jego sprzęcie, a stąd — w strategii i taktyce. Tak samo musiała wpłynąć na przestawienie zasad kierowania ludźmi w wojsku. Jedno zostaje niezmienne: zasada posłuchu, zasada władzy indywidualnej, sprawowanej przez jednostki na wszystkich szczeblach dowodzenia. Natomiast daleko odbiegliśmy od czasów, kiedy oficerowie piechoty zaopatrzeni byli w długie kije laskowe, aby zapędzać nimi i równać idące do ataku w zwartych kolumnach kompanie. Nie tyle postęp społeczny, jak by się komu wydawało, ile warunki boju zmieniły ten obyczaj. A dalej: załoga czołgu, obsada samolotu — czyż nie zmieniły przez sam fakt obsługiwania stosunkowo niewielkiej, ale potężnej ogniowo machiny, całego obrazu dyscypliny bojowej?

Zaczęło się to już podczas przeszłej wojny kolumienkami piechoty i usamodzielnioną obsługą gniazd karabinów maszynowych. Jak inżynier w fabryce nad majstrem, tak oficer nad szeregowym zachowuje nadal we wszystkich, nawet najradykalniejszych społecznie armiach świata przewagę rozkazodawczą i dyscyplinarną władzę. Ale jakże często dziś — tak właśnie, jak w fabryce — wyspecjalizowany na kierowcę czy pilota szeregowy trzyma w ręku dźwignię machiny i ponosi faktyczną odpowiedzialność za życie towarzyszów broni, bez względu na ich stopień. To wystarcza, aby zrozumieć przemiany, jakich życie dokonało.

Jeżeli o nas chodzi, trzeba dodać do tego specyficzny obraz naszego wojska na obczyźnie, szczególniej w Wielkiej Brytanii. Przez brak normalnej rekrutacji, przez olbrzymi procent maturzystów lub ludzi z wykształceniem wyższym, słowem — tak zwanych inteligentów, powstają nowe zagadnienia. Blisko trzecia część szeregowych tutaj ma indywidualne prawo do awansu na oficerów. Kwestia stanów przede wszystkim, a następnie i kwestia budżetu, nie zawsze pozwala na danie im tego awansu, który w normalnych warunkach, po podchorążówce i praktyce liniowej, szybko by osiągnęli. Stąd przeróżne niepożądane kompleksy, na które trudno poradzić kursami wojennych podchorążówek, a nawet tak radykalnymi środkami, jak twardo przeprowadzane odmłodzenie wojska.

W II. Korpusie, walczącym obecnie we Włoszech, sprawa ta wygląda nieco inaczej, ale tam znowu wchodzą w grę niesłychanie ciężkie przeżycia, jakich doznał żołnierz przed dostaniem się do swoich szeregów. Jeszcze inaczej, jak się tego łatwo domyśleć, przedstawia się to zagadnienie w podziemnej Armii Krajowej. Krótko mówiąc, wszędzie u nas jest to problemat ciężki, trudny, wymagający wzajemnego zrozumienia i dobrej woli, by osiągnąć znośne rozstrzygnięcia.

Stąd też sprawa wzajemnego stosunku dowódcy i podwładnego wysuwa się na plan pierwszy zagadnień wojskowych. Nie ustępuje nawet wyszkoleniu, bo bardzo często jakość wyszkolenia od tego właśnie stosunku zależy. Dobry dowódca dobrze szkoli i dobrze w bój prowadzi. Dobry podwładny daje dowódcy pewność wykonania zadania, nie zawodzi w wykonaniu, jest precyzyjnym narzędziem w kierującej nim dłoni. Więcej: będąc człowiekiem, nie instrumentem, daje w miarę potrzeby współinicjatywę dla osiągnięcia wspólnego celu. Tak musi wyglądać wojsko współczesne, zwłaszcza wojsko walczących demokracyj.

Nic więc dziwnego, że tym zagadnieniom, niejako wstępnym, nowo powstała staraniem Wydziału Prac Kulturalno-Oświatowych Ministerstwa Obrony Narodowej "Biblioteczka wychowawcza" poświęca dwa swoje pierwsze tomiki.* Pierwszy jest opracowaniem oryginalnym polskim, drugi — przekładem z opracowania angielskiego. Nasi brytyjscy i amerykańscy towarzysze broni zajmują się tymi sprawami niemniej starannie, niż my, chociaż mają inne, normalniejsze warunki bytowania wojskowego. Mają za to olbrzymią skalę obowiązków wojennych, tym większą, że musieli wiele improwizować niejako w ogniu walki. Nie umniejsza to ich zasługi, ale ją powiększa. Taka improwizacja, jak brytyjska i amerykańska, dokonana tak solidnie, gruntownie i z tak wspaniałymi wynikami, daje tylko miarę, jak znakomitych mamy sojuszników.

Tomik polski rozpoczyna się słowem wstępnym Ministra Obrony Narodowej, gen. dyw. Kukiela. To słowo wstępne jest treściwą dyspozycją tematu. W dziewięciu lapidarnych punktach ujmuje wagę zagadnienia i szczególne warunki, od których ono u nas zależy. Każdy z tych punktów nadaje się do rozwinięcia w odczytach i pogadankach przez dowódców lub przez oficerów oświatowych. Każdy z nich musi być przemyślany przez każdego bez wyjątku oficera, bo przecież każdy oficer jest wychowawcą. Musi więc zdawać sobie sprawę z otoczającej rzeczywistości. Nie łatwo znajdzie lepszy drogowskaz, niż to właśnie słowo wstępne. Nie tylko z powodu jasności, z jaką jest podane, ale i z powodu wiary, jaka zeń bije.

W samej swojej treści książeczka ujmuje właściwie połowę zagadnienia, mianowicie od strony dowódcy. Do niego się zwraca, jemu stawia przed oczy sprawy, z którymi się spotka. Czyni tak w słusznym rozumieniu, że w organizacji wojskowej pierwsze i ostatnie słowo należy do dowódcy. Z zupełną także słusznością lwią część tekstu poświęca stosunkowi dowódcy do podwładnego. Czyni to w formie luźnych, raczej felietonowych uwag, rozpamiętywań, napisanych łatwo, dobrą polszczyzną i oczywiście nie mogących wyczerpać zupełnie tematu. Temat bowiem jest prawie tak rozległy, jak dziedzina stosunków międzyludzkich. Nie mogą być dawane schematy, nie mogą być podsuwane rozwiązania klasyczne. Jeżeli jednak dowódca zawsze będzie pamiętał, że dowodzi żywymi ludźmi, że odpowiedzialny jest nie tylko za ich wyszkolenie i bojowe użycie, ale za ich życie, za ich byt moralny i materialny, za ich nastrój, którym warunkuje się skuteczność służby, jeżeli — jak to książeczka słusznie podkreśla — uniknie tak znienawidzonej przez żołnierzy sztuczności i pozyska ich zaufanie, wówczas reszta wysnuje się, jak z kłębka i dobre wyniki nie dadzą na siebie czekać. W drugiej części mówi się dowódcy, jaki ma być sam z sobą — ważna to sprawa.

Oczywiście, na tematy, o których mowa, można napisać nie jedną broszurkę, ale wiele tomów, tomów jednak podczas wojny nikt nie czyta, nawet na postoju. Zwięzłość zatym nie jest wadą, tylko raczej zaletą książeczki. Spodziewać się należy, że dalszy rozwój "Biblioteczki wychowawczej" pójdzie po linii dalszego omawiania tych zagadnień, może i z punktu widzenia podwładnych. Na przykład, odpowiednie ujęcie obowiązków podoficera. Podoficer jest i dowódcą, i podwładnym; w korpusie dowódczym sprawuje ważne czynności wykonawcze i jest z natury rzeczy łącznikiem między dowódcą oddziału a żołnierską gromadą. Ciekawe mogło by być omówienie tych rzeczy przez samych podoficerów, między którymi mamy wielu doświadczonych, a obecnie nie tylko wyszkolonych specjalnie, ale i ogólnie wykształconych ludzi. Zresztą przeżycia od roku 1939 do czasów obecnych, tułaczka i rzeczy widziane sprawiają, że wogóle żołnierz nasz wie znacznie więcej, niż wiedział w kraju, a kto wie, czy indywidualnie nie góruje nad innymi żołnierzami świata. Mówi się to nie dla próżnej chwalby, ale dla wykorzystania doświadczeń.

Przekład książeczki angielskiej /trzy wykłady/ jest dla nas niezmiernie ciekawy. Wskazuje bowiem na to, co interesuje Brytyjczyków, którzy pod pewnym względem później od nas wstąpili na drogę normalnie wojskową, później mianowicie poddali się konieczności wprowadzenia powszechnej służby wojskowej. Zmusiła ich do tego konieczność, za to uczynili to uczciwie i świetnie, jak pełnej krwi rumak, wyprzedzając inne o wiele długości. Można powiedzieć, że dopiero wojna zetknęła Brytyjczyków z zagadnieniami, dawno rozstrzygniętymi na kontynencie. Oczywiście czym innym jest ochotnik w wojsku, czym innym — poborowy, i indywidualnie i w masie.

Są w tej książeczce takie rzeczy, które zawiera po prostu nasz "Regulamin Służby Wewnętrznej", a więc rzeczy dla nas znane. Ale czy zawsze w pełni wykonywane? Otóż to jest piękne w charakterze brytyjskim, że nie koniecznie potrzeba paragrafów, by stosunek człowieka do człowieka czynić ludzkim i braterskim. Chwilami więc mówimy sobie, czytając te trzy wykłady: — "Pocóż to mówić? to takie proste! to wszyscy dawno wiemy!", ale chwilami zastanawiamy się głęboko nad trafnością i świeżością spostrzeżeń. Na przykład: podkreślenie roli solidarności oddziałowej między oficerem a podkomendnymi. Na przykład: ułatwianie im, a nie utrudnianie pedanterią prac koszarowych. I wiele takich można by mnożyć przykładów. Brytyjczycy i Amerykanie, jedni i drudzy na swój odrębny sposób, stworzyli imponujące służby opieki nad żołnierzem, nie uważając tego wcale za wymysł swych władz zwierzchnich, ani za rozpieszczanie żołnierza, ani za demagogię. I z pewnością wyciągną z tego siewu obfity plon, w postaci zdrowia duchowego swoich wojsk.

U nas też nie tylko myśli się o tym, ale i posiada się odpowiednie ramy organizacyjne, by te sprawy należycie ująć. Czy jednak wszyscy już pozbyli się dawnych uprzedzeń i czy wszyscy uznali pierwszorzędne znaczenie nowo powstałej służby — to inna sprawa. A rzecz ma swoją wagę gatunkową. Wojska ustrojów totalitarnych załatwiają to sobie inaczej, ale jednak załatwiają. Wydaje się niewątpliwe, iż mamy bliżej i lepsze przykłady, jakiego szukać rozstrzygnięcia. Nasz żołnierz, oderwany od rodziny, często śmiertelnie o jej los strwożony, zasługuje na szczególną pieczołowitość.

Przekład książeczki angielskiej bardzo dobry. Wydanie obu książeczek — staranne; korekta bez zarzutu. Miło to podkreślić.

ANTONI BOGUSŁAWSKI

* *Dowódca i podwładny.* Biblioteczka wychowawcza. Tomik I. Wydz. Prac Kult.-Ośw. M.O.N. Londyn, 1943. Stron 48.

Towarzysze broni. Przekład z angielskiego "Comrades in Arms". Trzy pogadanki dla oficerów młodszych i podchorążych dla ułatwienia im postępowania z podwładnymi. Biblioteczka wychowawcza. Tomik II. Wydz. Prac Kult.-Ośw. M.O.N. Londyn, 1944. Stron 48.

Katastrofa "Wehrmachtu" na Wschodzie

Po pięciu latach wojny armia niemiecka ponosi na równinach polskich największą klęskę w swojej historii. Po raz trzeci w ciągu jednego pokolenia Polska staje się polem walki, na którym toczone są bitwy o epokowym znaczeniu. Przed krótkim rozbiorem obecnego położenia w Polsce, warto jest naszkicować w paru zdaniach przebieg ofensywy sowieckiej, której kierunek, rozmach i natężenie zaskoczyły ponownie O.K.W.

DZIAŁANIA PRZEDWSTĘPNE I PIERWSZE OSIĄGNIĘCIA

Przygotowania do ofensywy sowieckiej rozpoczęły się gdzieś w połowie maja r.b. Jednym z ważniejszych posunięć sowieckiego naczelnego dowództwa było przerzucenie transportami kolejowymi z Krymu na północ — armii Tołbuchina oraz Jeriemienki, które w pierwszych dniach maja ostatecznie zlikwidowały opór niemiecki na Krymie.

Przez wybór względnie biernego frontu białoruskiego jako kierunku ofensywy dowództwo sowieckie zaskoczyło Niemców, którzy liczyli się z natarciem na froncie południowym, w kierunku na Bukareszt oraz na Bałkany. Niemieckie wypady ofensywne w rejonie Jass miały właśnie na celu wyjaśnienie siły koncentracji sowieckich. Silny opór sowiecki przekonał zapewne O.K.W., że musi się liczyć z naporem sowieckim na tym odcinku frontu.

Ofensywa sowiecka rozpoczyna się 23 czerwca uderzeniem I Bałtyckiej grupy armii Bagramiana oraz III Białoruskiej grupy armii Czerniakowskiego w ogólnym kierunku na potężny bastion niemiecki Witebsk, przeskrzydlając go od północy i południa. W dwa dni później rusza do natarcia I Białoruska grupa armii gen. Rokossowskiego w kierunku na Bobrujsk, a II Białoruska grupa armii Zacharowa na Mohylów.

W ten sposób w ciągu zaledwie kilku dni ta olbrzymia masa uderzeniowa przełamuje najpotężniejszą niemiecką strefę ufortyfikowaną na froncie wschodnim, umacnianą przez setki batalionów roboczych Todta od roku 1943.

Przełamanie frontu odbywa się przy olbrzymiej sowieckiej przewadze liczebnej i materialnej. Wszyscy komentatorzy niemieccy z generałem Dietmarem na czele podkreślają wielokrotną przewagę sowiecką na kierunkach uderzenia.

Rozpoczęcie ofensywy sowieckiej rozwiewa jak bańkę mydlaną rzekomą "zagadkę frontu wschodniego", upadają wszelkie pogłoski, jakoby Rosjanie nie zamierzali w ogóle prowadzić żadnej ofensywy, że wolą, aby tym razem jedynie ich sprzymierzeńcy anglosascy krwawili się sami na zachodzie i t.d.

Ofensywa sowiecka rozpoczęta przy użyciu ogromnych sił ma — jak można przypuszczać — podwójny cel operacyjny: zdobycie Polski i wykorzystanie tej zdobyczy dla uderzenia na zachód, bezpośrednio w kierunku Rzeszy, a jednocześnie przeskrzydlenie od południa potężnie ufortyfikowanych Prus Wschodnich.

Z chwilą rozpoczęcia natarcia sowieckiego "genialna intuicja" Hitlera poszła na rękę planom Rosjan: O.K.W. pod jego naciskiem powzięło zupełnie fantastyczną decyzję utworzenia z silnej, liczącej 30-40 wielkich jednostek grupy armii Lindemana w państwach bałtyckich wielkiego przyczółka mostowego. Przyczółek ten, według pomysłu Hitlera miał stanowić nowy Tobruk — na większą skalę, miał wisieć nad prawym skrzydłem ofensywy sowieckiej na froncie środkowym. Rozwój wydarzeń, a raczej przeciwdziałanie sowieckie wskazują na to, że ten niedoszły Tobruk stanie się dla Niemców nowym Stalingradem lub Krymem, a cała znaczna armia Lindemana, która mogła być użyta do obrony Prus Wschodnich nie odegra już żadnej czynnej roli w dalszych wydarzeniach wojennych. Napór sowiecki na Rygę izoluje stopniowo część sił niemieckich w Estonii, odcinając im drogę odwrotu.

Tymczasem Rokossowski, mianowany po zdobyciu Mińska marszałkiem, przekracza granicę polsko-sowiecką, działając na szerokim froncie na północ od Błot Pińskich. Przy wybitnym współudziale dwu dywizji Armii Krajowej zdobywa on po parodniowych walkach ulicznych Wilno i posuwa się na kierunkach Białegostoku, Brześcia i Kowla, przeskrzydlając i odcinając siły niemieckie, broniące punktów umocnionych.

DRUGA FAZA OFENSYWY SOWIECKIEJ I JEJ SKUTKI

W pierwszych dniach lipca rusza nowa ofensywa sowiecka Koniewa na południe od Błot Pińskich — w ogólnym kierunku na Lwów-Kraków. Pod Brodami otacza on i niszczy pięć dywizji niemieckich, zdobywając Jarosław i Przemyśl i przeskrzydlając Lwów od północy. Garnizon niemiecki we Lwowie składa broń 27 lipca, po zaciętych walkach ulicznych, w których ludność polska, wierna tradycjom Orląt Lwowskich, bierze niezmiernie czynny udział, uzyskując słowa uznania od dowódców sowieckich.

W tym samym czasie, działając na północy Rokossowski przekracza na szerokim odcinku Bug, prąc dalej w kierunku Wisły. I znowu — na skutek przekroczenia Bugu — rozwiewa się jeszcze jeden mit szeptanej propagandy, że w wyniku tajnej umowy niemiecko-sowieckiej rzeka Bug ma stanowić kres natarcia sowieckiego . . . Rokossowski dochodzi na odcinku 40 mil do Wisły i po zdobyciu Dęblina przerzuca swój główny wysiłek w kierunku północno-zachodnim: na Warszawę.

TAKTYKA SOWIECKA I STRATY NIEMIECKIE

Podkreślić należy, że mimo tempa *Super-Blitzkriegu* manewr sowiecki prowadzony jest rozważnie i bez nadmiernego ryzyka — nie na próżno kampania roku 1920 była tak starannie studiowana w czerwonej Akademii Sztabu Generalnego. Rokossowski unika błędów Tuhaczewskiego, nie podstawia swojego rozciągniętego skrzydła pod uderzenie z flanki, i dlatego przede wszystkim zdobywa on Dęblin, skąd mogło by ewentualnie wyjść przeciwuderzenie niemieckie. Jednocześnie wystrzega się podstawienia swojej prawej flanki pod uderzenie sił niemieckich, skoncentrowanych w Prusach Wschodnich i dlatego posuwa się uszykowany schodami, mając swoje główne siły na południowschód od stolicy Polski. Nic nie wskazuje na to, by Niemcy mogli powtórzyć Cud nad Wisłą i mogli przeszkodzić Rokossowskiemu w wejściu do Warszawy.

Biorąc pod uwagę zamrożenie 30-40 dywizji Lindemana w państwach bałtyckich oraz straty niemieckie w czasie obecnej ofensywy sowieckiej, które można obliczać również na około 30 dywizji, O.K.W. straciło około 1/3 swoich sił na froncie wschodnim, a ofensywa sowiecka jest daleka od wyczerpania.

GARŚĆ PRZEWIDYWAŃ

Padają pytania, gdzie może być następna linia zorganizowanego oporu niemieckiego? Nie jest nią już linia Bugu i Sanu a z całą pewnością nie może nią już być Wisła, która nie była również linią oporu dla naszych oddziałów w czasie kampanii wrześniowej. Być może O.K.W. spróbuje powstrzymywać ofensywę sowiecką na linii Warty lub na potężnych umocnieniach budowanych przez lata, wzdłuż granicy polsko-niemieckiej.

Trudno sądzić, by równiny Poznańskiego dały możność zaczepienia się zmęczonym oddziałom niemieckim, partym przez lawinę sowiecką i zdemoralizowanym na skutek nieustannych odwrotów i klęsk. Ziemia w Polsce będzie parzyć stopy najeźdźcom, gdy w momencie co raz bardziej bezładnego odwrotu da się Niemcom odczuć coraz dotkliwiej działalność Armii Krajowej.

Być może generałowie niemieccy zdecydują się wówczas na oparcie się o Odrę, skracając front w sposób radykalny. Walki na Odrze — to walki na ziemi niemieckiej, które toczyć się będą już w pobliżu Berlina. Czy wytrzyma to duch narodu niemieckiego — oto wielkie pytanie.

EUGENIUSZ HINTERHOFF

Dla Polaków w Rosji: £11,054

Redakcja "Polski Walczącej",
5, Portugal Street,

W załączeniu przesyłamy kwotę £21.10.0 /słownie: dwadzieścia jeden funtów, dziesięć szylingów/ zebraną w formie dobrowolnych składek przez Pracowników Polskiej YMCA w miesiącach czerwiec/lipiec 1944 r. z przeznaczeniem na pomoc Polakom w Rosji.

Z poważaniem

Za Polską YMCA
/H. Tomaszewska/

* * *

Do Redakcji "Polski Walczącej",

W załączeniu przesyłam Postal Order na kwotę jednego funta i proszę o przekazanie tejże na "Pomoc Polakom w Rosji".

Z poważaniem

Ppor. Stanisław W.S.

* * *

Załączam Postal Order 10 sh. na cel w/g uznania Redakcji jako nieprzyjętą zapłatę za mszę św. za mego ojca przez ks. kap. Gołębiańskiego.

Z poważaniem

Ted Legwand

* * *

Łączną sumę zbiórki w dzisiejszym numerze £23 /słownie: dwadzieścia trzy funty/ przekazaliśmy Czerwonemu Krzyżowi.

Suma powyższa podnosi ogólną sumę zebraną dotychczas na ten cel za pośrednictwem "Polski Walczącej" do £11,054.18.5 /słownie: jedenaście tysięcy pięćdziesiąt cztery funty, osiemnaście szylingów, 5d./, 28 dolarów kanadyjskich, 108 pesetów hiszpańskich, 5,50 dolarów amerykańskich, 15 czerwieńców i 100 milrejsów brazylijskich.

Zbiórka książek

Dla Polaków na Bliskim Wschodzie przesyłam co mam pod ręką a to: C. Hollis: "Krzyzys pieniądza", 2 nr. "Skauta", "Wielkanoc", "The Eastern Boundaries of Poland", "Co słychać".

Roman Zawadzki

* * *

Redakcja "Polski Walczącej"
w Londynie,

Przesyłam w załączeniu dla żołnierzy Armii Polskiej na Wschodzie jedną książkę i dwie broszury.

Łączę wyrazy poważania

por. pil. R.B.

* * *

Ogólna suma zbiórki książek dla Żołnierzy Armii Polskiej na Wschodzie wynosi dotychczas 4.382 książki.

Na "paczki od serca": £3,656

W załączeniu przesyłam £2 na paczki od serca — zamiast wieńca na trumnę ś.p. ks. Pogłódka.

Ppłk. I. Aleksander

* * *

Przesyłam £1 na "paczkę od serca".

Kpt. Ro.

* * *

Kasyno podoficerskie jednego z Baonów . . . Samodz. Brygady Spadochronowej przesyła w załączeniu "Money Order" na £30, z prośbą o przekazanie z powyższej kwoty £15 na Fundusz Dzieci Polskich /sieroty po poległych żołnierzach/, oraz £15 na paczki od serca dla jeńców polskich w Niemczech.

* * *

Redakcja "Polski Walczącej",

W załączeniu przesyłam money order na sumę £4 /słownie: cztery funty/ z prośbą o przekazanie ich na "paczki od serca".

Załączam: 2 zapotrzebowania na paczki żywnościowe à 10 sh. i 6 adresów jeńców, którym proszę o wysłanie po 500 papierosów.

Major E.Kw.

* * *

Wielce Szanowny Panie Redaktorze,

W załączeniu przesyłam postal order na łączną sumę £2.10.0 na paczki od serca dla jeńców. Suma powyższa została zebrana przez żołnierzy wyznania prawosławnego, podczas nabożeństwa w I. Dywizji Pancernej.

Z polecenia Jego Ekscelencji Księdza Biskupa.

plut. podchr. Sergiusz C.

N.N. na paczkę od serca według załączonego adresu sh.9.3.

* * *

Wielce Szanowny Panie Redaktorze,

Mój syn, nie mogąc walczyć we własnych szeregach, poszedł za głosem serca w góry Monte Savoia. Wierząc że Dobry Bóg da mu dużo szczęścia żołnierskiego, by mógł wrócić do ziemi ojców i również pracą budować lepszą przyszłość własnej ojczyzny, przesyłam w załączeniu £1 /jeden funt/ na "paczki od serca" i łączę wyrazy głębokiego szacunku

L.Z.

* * *

Ośm funtów i pięć szylingów /£8, sh.5/ zebranych w lipcu przez personel Polskiej Stacji Bombowej i 300 Dywizjonu Bombowego, przesyła na paczki od serca.

Kapelan Polskiej Stacji Bombowej

* * *

Łączną sumę zbiórki w dzisiejszym numerze £34.4.3 /słownie: trzydzieści cztery funty, cztery szylingi, 3d./ przekazaliśmy Sekcji Pomocy Polskim Jeńcom Wojennym Stowarzyszenia Społecznej Służby Kobiet.

Suma powyższa podnosi ogólną sumę zebraną dotychczas na ten cel za pośrednictwem "Polski Walczącej" do £3,656.16.5 /słownie: trzy tysiące sześćset pięćdziesiąt sześć funtów, szesnaście szylingów, 5d./, 50 milrejsów brazylijskich i 3 dolary amerykańskie.

NA POLISH CHILDREN RESCUE FUND

Kasyno podoficerskie jednego z Baonów . . . Samodz. Brygady Spadochronowej przesyła w załączeniu "Money Order" na £30, z prośbą o przekazanie z powyższej kwoty £15 na Fundusz Dzieci Polskich /sieroty po poległych żołnierzach/, oraz £15 na paczki od serca dla jeńców polskich w Niemczech.

* * *

Szanowny Panie Redaktorze,

Przesyłam w imieniu Miss Richmond, 24, Rennie Str., Falkirk, 1 funta na fundusz pomocy dzieciom.

Z poważaniem

K.Kl.

* * *

W roku bieżącym zebrano na ten cel za pośrednictwem "Polski Walczącej" £561.10.4 /słownie: pięćset sześćdziesiąt jeden funtów, dziesięć szylingów, 4d./.

POSZUKIWANI

1/ ADAM KALIŃSKI, lat 45, zamieszkały w Warszawie;
2/ JÓZEF ŻMIGRODZKI, lat 40, były nauczyciel z Kalisza, był w Wojsku Polskim we Francji;
3/ MARIAN ŁEBKOWSKI, lat 47, syn Tomasza, nauczyciel;
4/ JÓZEF ŁEBKOWSKI, lat 40, syn Tomasza, były nauczyciel Szkoły Rolniczej w Łowiczu, porucznik piechoty, był w Kozielsku;

Poszukuje Halina Łebkowska, w Lusaka, Northern Rhodesia.

Ewentualne informacje proszę łaskawie skierować na adres: S. Zahorska, 34, Hill Rise, N.W.11.

WERINAJSEK

. . . ŚMIEJMY SIĘ — BO KTO WIE CZY WOJNA POTRWA TRZY TYGODNIE . . .

HUMOR DLA DZIECI POLSKICH W AFRYCE





ROZMOWY NASZE W LONDYNIE

—No, co słychać?
—Lepiej!
—Co pan mówi?
—Lepiej nie mówić!

GDZIEŚ W SZKOCJI

—Gdzie pan pracuje?
—W nadleśnictwie!
—Co takiego?
—No tak, u "leśnych dziadków" . . .

SŁOWNIK LOTNICZY



"Ogródek" . . .

WESTCHNIENIE RODAKA W EDYNBURGU

—Ach panie, żeby tak jedna bomba latająca spadła na Edynburg, zaraz byłoby więcej wolnych mieszkań! . . .

JAK CIĘ WIDZĄ . . .

Szkotka na widok wytwornie ubranego polskiego żołnierza mówi:
—Nie przypuszczałam, że w waszej armii jest tylu wybitnych śpiewaków . . .
—Ależ ten nie jest śpiewakiem, to zwykły mechanik! . . .
—Tak??? A ja myślałam że to jakiś inny Prokopieni . . .

W K.U.

Do zwolnienia przyjeżdża jeden z żołnierzy:
—Panie starszy, pan nie wie gdzie tu urzęduje pan sierżant Dziurawlodzie?
—Dziurawlodzie??? Takiego nie ma. Boże Przeręblski?
—Uj, nie jest to wszystko jedno!? . . .

OBIECANKA — CACANKA



Jak wygląda rączka rodaka, który obiecywał drugim, że wojna zakończy się w czerwcu . . .

RZECZY CIEKAWE, ZABAWNE I POŻYTECZNE

"*Strand Magazine*" daje następującą receptę na denerwujące wiadomości: "Ilekroć czytasz wiadomość, która Cię wyprowadza z równowagi, zadaj sobie trzy pytania: — Kto to mówi? Dlaczego tak mówi? I co chce abym ja zrobił? — "

/d/

Amerykańskie pismo żołnierskie wychodzące w Anglii "*Stars and Stripes*" podaje następującą anegdotę: "List wysłany przez pewnego żołnierza do narzeczonej przeszedł przez cenzurę. Gdy adresatka otworzyła kopertę znalazła zamiast listu wąską kartkę papieru, na której było napisane: "Pani chłopak kocha Panią nadal, ale pisze za dużo. Podpisane: Cenzor".

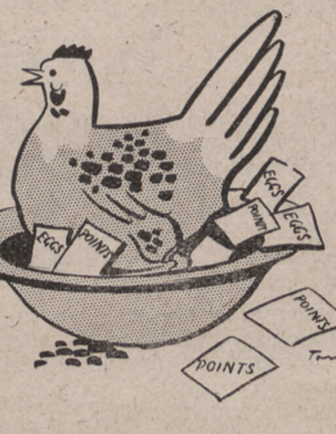
/d/

Następującą anegdotę wyjmujemy z "*Valmy*" tajnego pisma wychodzącego we Francji:

Biskup z Bordeaux wręczył swemu sekretarzowi 50 fr. dla pewnej biednej kobiety, która prosiła o pomoc.
—"Ile ma ona lat?" — spytał biskup.
—"70" — odrzekł sekretarz.
—"Czy bardzo biedna?"
—"Tak twierdzi".
—"Musimy jej wierzyć".
Sekretarz zawahał się przez chwilę, a potem rzekł:
—"Jego przewielebność zdaje się nie orientuje się dobrze. Ta kobieta jest Żydówką".
—"Żydówka! O mój Boże. To zmienia postać rzeczy. Daj jej 100 fr. i podziękuj za ufność w miłosierdzie chrześcijańskie".

/d/

"RATION" KURA



Tekst i rysunki: TONY

Poszukuję TERESY ŻYNIEWICZ z Poznańskiego. Ostatni znany adres w Krakowie. Wszelkie informacje kierować do Redakcji "Polski Walczącej".

SPIS RZECZY:

KOMUNIKAT

Ukazał się podwójny /44-45/ "Poradnika dla pracowników świetlic żołnierskich" wydawanego przez Polską YMCA w W. Brytanii. Numer ten, poświęcony muzyce polskiej, składa się z 2 części:

Część pierwsza obejmuje szereg artykułów najwybitniejszych muzykologów polskich, które ujęte zostały w 3 rozdziały: Od pieśni Bogurodzica do opery narodowej, Chopin, ostatnie stulecie. Tę część uzupełniają objaśnienia wyrazów używanych w muzyce, spis nazwisk kompozytorów wymienionych w tekście, oraz obszerny wykaz emigracyjnych wydawnictw muzycznych, artykułów i książek /polsk. i ang./ o muzyce polskiej oraz płyt gramofonowych z utworami kompozytorów polskich.

Część druga jest dodatkiem nutowym, zawierającym szereg charakterystycznych kompozycyj muzyków polskich od Gomółki do Szymanowskiego.

Całość zdobią liczne fotografie i rysunki.

WYDAJE BIURO OPIEKI NAD ŻOŁNIERZEM MIN. OBR. NAROD.

Adres Redakcji (Editorial Offices): 5, Portugal St., W.C.2. Tel., HOLborn 7600. I-e piętro.
Redaktor przyjmuje w poniedziałki i wtorki od 11-ej—13-ej.
Redakcja nie zwraca rękopisów niezakwalifikowanych do druku.

Warunki prenumeraty: Miesięcznie z przesyłką pocztową—sh.1. Kwartalnie z przesyłką pocztową—sh.3. Należność prosimy wpłacać przekazem pocztowym (Postal Order) pod adresem Administracji.

Ceny ogłoszeń: 1 cal przez jeden łam—sh.20. Zarezerwowane miejsce 50% drożej. Ogłoszenia o poszukiwaniu pracy—2sh. za wiersz.

Adres Administracji (Business Offices): 63, Lincoln's Inn Fields, W.C.2. Tel., Chancery 5505 i 5506.

Printed for "Polska Walcząca" by St. Clements Press, Ltd., Portugal St., Kingsway, W.C.2. Registered at the G.P.O. as a newspaper.